Nr. 36. Warszawa, dnia 26 Sierpnia (7 Września) 1895 r. Rok XV.

PRAWDA

FILOZOFIJA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szanow. abonentów kwartalnych prosimy o nadesłanie przedpłaty.

POLITYKA.

SEDAN.

Hasło, wydane jeszcze na początku roku przez cesarza Wilhelma, nie poszło na wiatr: sierpień ubiegły możnaby nazwać świętym miesiącem niemców, a dzień drugi września świąt wszystkich koroną. Cały naród miał się cieszyć, cały też naród się cieszył — socyaliści sami wyłączyli się z narodu. Nawet wtedy, gdy stawał na polach bitew, nad grobami poległych — żałobę tłumiła radość ze zwycięztw — radość prawowita: gdy się ma wielkie czyny w przeszłości, nie można ich nie mieć i we wspomnieniach — a od wspomnień zadrżeć musi i serce. Nie potrzebowali niemcy hasła, aby z tego miesiąca świetnych swych czynów mieć jedną wielką uroczystość narodowego uczucia; cesarz Wilhelm wycisnął tylko na obchodach własny swój stempel, a udziałem swym nadał im charakter jakby państwowy.

Francuzi, jak powściągliwymi być umieli wobec ideału Alzacyi, tak teraz dziwną zachowali cierpliwość wobec tych objawów radości niemieckiej. Nie odpowiedzieli manifestacyą żałoby za przeszłość, nie odpowiedzieli też manifestacyą wiary w przyszłość. Gdyby nie ów biskup Nancy, Tupinaz, którego słowa spóźnione dopiero dostały się do dzienników — nie byłoby jednego wybitniejszego objawu narodowego uczucia, dającego odpór niemcom. A i ów głos patryoty w odosobnieniu swojem wygląda na przechwałkę. Czując swą potęgę, francuz nie potrzebuje się smucić: przeciwnie, promienieje od niej radością. Ale tego rozpromienienia właśnie nie widać w narodzie. Wolno też wątpić: czy francuz dzisiejszy ma wiarę we własną potęgę, czy przypomina owe tłumy odarte, bose a rozśpiewane z przed lat stu, i czy jego cierpliwe wsłuchiwanie się w tryumfalne hymny niemieckie nie jest skutkiem zakażenia ideału dyplomatyczną rachubą?

Sedan był strasznym dla Francyi, bo sprowadził jej pogrom, ale byłby jeszcze straszniejszym, gdyby sprowadził jej dziejową anemię tam właśnie, gdzie tętna żywo, krwią pełną bić powinny. Jeżeli jest co zdolnego uszlachetnić dzisiejszą Rzeczpospolitę, pozbawioną wiary republikańskiej, czystości demokratycznej — to żądza odzyskania tego, co się przed 25-u laty utraciło.

Moda francuska, panująca w mowie, w obyczajach, nawyknieniach, w zewnętrznym połysku cywilizacyi i kultury, w literaturze i sztuce Europy — i nawet do nauki się wdzierająca — nakazała współczesnym uważać Sedan za nieszczęście wielkie już i dla świata, dla ludzkości całej. Pamiętamy własne swe smutki na każdą wiadomość o wielkich klęskach sierpniowych, a żałość już prawdziwą na wieść o tragicznej przygodzie na pograniczu belgijskiem. Francya miała wtedy sympatye świata całego i Wiktor Hugo mógł w hyperbolicznym swoim języku nazwać Paryż grodem światłości, nie obrażając naszego rozumu, mógł rok klęsk ochrzcić mianem strasznego roku, nie wywołując po za Francyą sceptycznego dodatku: tak, straszny, ale dla was. Ten rok był rzeczywiście strasznym dla wszystkich — z wyjątkiem niemców.

Na niemców też patrzano jak na żywe potwory; ich zwycięztwa były zbrodniami, ich ostateczne zmożenie Francyi w Wersalu i Frankfurcie — niegodziwością, wołającą o pomstę do nieba. W wyobraźniach malowała się Francya wspaniała, wielka, dla ludzkości żyjąca a teraz oto zdeptana; nad nią zaś olbrzym ohydny, ohydnie zbrojny i silny, ostrą, niemiłosierną stopą na niej stojący—i gotów po takiem zwycięstwie okrutnem ruszyć na zagładę całej ludzkości. Tak było, ale tak nie jest. Ten, dla filozofa nieistniejący czas, — dla polityków w istocie mocarz najpotężniejszy, choć ze wszystkich najcichszy, — zrobił swoje: funkcye rozsądku i apercepcyi doświadczalnej wydarł imaginacyi i zwrócił prawowitym organom umysłowości ludzkiej. Na wielkie wypadki spojrzano okiem historyi, okiem wieków — nie chwili.

Poznano zwolna, że Sedan nie rozpoczął epoki rozsrożonego na ludzkość gwałtu i ciemności; że Bismarck nie był mistrzem piekielnego rzemiosła; że nie przez niego dopiero wszedł gwałt na świat i że on nawet żadnego nie dopuścił się gwałtu. Francya sama wyzwała na siebie burzę: sprawcą jej nieszczęść był Napoleon III, dyletant, człowiek bez siły i bez zasad, z głową tylko pełną snów, mieniącą się w ciągłej tęczy jakichś mgławic, które wskutek jego wątłej natury nigdy stężeć, w myśli woli świadomej, w postanowienia męzkie i mężne—wykształtować się nie zdołały.

Nie Bismarck był sprawcą nieszczęść Francyi, bo nikt Napoleonowi nie bronił mieć lepszej polityki, lepszej armii, lepszych generałów i planów kampanii — a cokolwiek stało się w latach 1870—71, jest owocem wyższości niemców pod wszystkimi tymi względami. Wszystko wytworzył oręż, który musi rozstrzygać spory między narodami, dopóki się narody od sporów zapalać będą. Kto nie chce uczyć fałszu, ten niech niemcom przyzna, że walczyli, zwyciężali i ostatecznie powalili — uczciwie i mają też prawo do uczciwej radości. Czas już rozwiać legendę.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Uroczystość sedańska zakończyła święta narodowe niemców. Obchodzono je z wyjątkową uroczystością. Cesarz Wilhelm uwijał się na wszystkie strony. Szkoły, biura, koszary—wszystko wyległo na rynki. Po wsiach na małą skalę to samo, co po miastach. W Berlinie na bramie Brandeburskiej zielenią wypisano słowa, wówczas jeszcze króla pruskiego, Wilhelma I: „Welch eine Wendung durch Gottes Fügung (Führung)“ — w telegramie do królowej Augusty po Sedanie. Dnia 1 września duchowieństwo ewangelickie poświęciło świątynię pamiątkową, budowaną od r. 1891. W sam dzień sedański cesarz odbył paradę z gwardyą, powitał weteranów z Ameryki, wyprawił obiad galowy, a na tym obiedzie miał mowę, zapowiadającą walkę z socyalistami: jeśli jej nie stoczy pomyślnie naród, podejmie ją państwo. Miłosierdzia nie będzie dla ludzi „niegodnych imienia niemieckiego.“

Socyaliści rzeczywiście zgrzytem kosmopolityzmu zakłócili harmonię narodowej radości. Nawet za granicami Niemiec ta ich samodzielność wywołać musiała niesmak: nie dziwnego, że wywołała oburzenie w samych Niemczech. Ministeryum spraw wewnętrznych zaczyna już pracować nad projektami. Cesarz jakby nie ufał siłom narodu, odwołuje się odrazu do potęgi państwa, sięga po środki rządowe.

W Monachium odbył się w dniach 26 do 29-go wiec katolików. Nie było na nim może pięciu tysięcy uczestników, ale były przeszło trzy. Ostatniego dnia radzono bez świadków, innych dni — publicznie. Mnóstwo praktycznych zagadnień poruszono, traktując politykę ze stanowiska moralności — co zawsze się przyda. Na tajemnem posiedzeniu uchwalono potrzebę przywrócenia władzy świeckiej papieztwu i wyrażono wiele innych życzeń już ze stanowiska polityki — co je bezpłodnemi uczynić musi.

W sprawie armeńskiej ciągłe falowanie: raz zdaje się już zwycięztwo dyplomatyczne Anglii pewnem, nacisk przez demonstracyę floty w razie oporu — nieuniknionym; to znowu wszystko staje w miejscu i ruszyć się nie może ani w lewo, ani w prawo. Turcya wysyła niby Szakirabaszę na miejsce dla wprowadzenia porządku, ale jednocześnie skarży się przed Rosyą i Francyą na srogość Anglii, a według telegramu z Tyflisu do *Nowosti*, nowych gwałtów na armeńczykach własnemu swemu żołdactwu wespół z kurdami dopuszczać się pozwala. Nie chcąc przystać na komissyę nadzorczą, w wielu organach prasy europejskiej znajduje orędowników: jak gdyby traktat berliński w artykule LXI właśnie ustanowienia nadzoru nie przewidywał i owej samodzielności tureckiej o której mówił Salisbury, w zasadzie raz na zawsze nie naruszał — trzymając się z resztą tylko tego, co w r. 1878 przyniosła sama rzeczywistość.

Z Madagaskaru przywieziono do Francyi już 1800 chorych; drugie tyle jest w drodze: czwartą część korpusu pożarły choroby. Duchesne mimo to nie chce posiłków i na początku października spodziewa się zdobyć stolicę howajską. Shervington, były organizator wojska na Madagaskarze, przewiduje opór największy pod samą stolicą, zatopienie całej okolicy, — obronę poważną. A i choroby mają jeszcze prawie dwa miesiące na gospodarkę. Ułożyły i one swój plan kampanii.

Na Kubie ogłoszono rzeczpospolitę. Może to być czynik psychologiczny, ale w polityce nie ma znaczenia. Była jakaś potyczka większa, i jak zwykle po zwycięztwie czy klęsce, skończyła się rozproszeniem powstańców, którzy nie mogą stać w otwartem polu, nie mając artyleryi.

Senat belgijski przyjął ostatecznie 56 głosami przeciwko 31, prawo szkolne.

Król Aleksander o mało co nie utonął w Biarritz.

Żona księcia Koburskiego wraz z synem Borysem wróciła do Bułgaryi.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA

Wacław Berent: *Fachowiec*, powieść współczesna, Warszawa, nakład Paprockiego, 1895, str. 273. — Wacław Sirko: *Na kresach lasów*, opowiadanie, Petersburg, druk Kornatowskiego, 1894, str. 381.

W osobie Kazimierza Zaliwskiego, a w formie autobiografii, p. Wacław Berent, występujący po raz pierwszy podobno na widownię powieściopisarską, skreślił początkowe zachwyty i następne rozczarowania praktyki rzemieślniczej młodzieńca, który po skończeniu gimnazyum filologicznego obrał zawód fachowy. Podstawione czy realne to „ja“ daje czas jakiś lekcye w domu zamożnego przemysłowca Kwaśniewskiego, gorliwie „studyuje“ po kawiarniach gazety postępowo, kocha się w córce dyrektora fabryki, Helenie Walickiej, odczytuje po nocach „Historyę cywilizacyi“ Bockle'a i dość racyonalnie zdobywa się pod parciem tej atmosfery moralnej na postanowienie pożegnania marzeń o uniwersytecie, politechnice—i wzięcia się do ślósarstwa. Dzienniki, rozmowy, widowisko, duch czasu, przedewszystkiem zaś niezbędne pracowanie na chleb dla siebie i młodszego braciszka Michasia, uczęszczającego do szkół, wpływają na ten wybór w sposób niemal deterministyczny, że się tak wyrazimy, — niepozwalający przypuszczać jakiejkolwiek podstawowej, umyślnej zasadzki ze strony autora. Pewną nutę naigrawania się nad ową „determinacyą“ słyszymy wprawdzie od samego wstępu (w przesolonej np. zachęcie Kwaśniowskiego na str. 6-ej), ale jej na razie nie rozumiemy i z nią się nie liczymy. Przedsięwzięcie wydaje się poważnem, rozsądnem i nie ma najmniejszego powodu podejrzenia, żeby się to znaleźć mógł temat *a priori* przeznaczony do podmalowania na kolor katastofy końcowej, która z Kazimierza robi idyotę zamiast fachowca.

Katastrofa jednak, od początku zaczajona za drzwiami teoretycznej wiary i pewności Kazia, zwala się niebawem na barki młodzieńca z całą bezwzględnością, z całym taborem przygód, w których determinizm zwyczajowy, prosty, tkwiący w założeniach sytuacyi, chowa się już teraz za plecy ślepego trafu i takich nadzwyczajności olbrzymich, jak pożar fabryki i obłąkanie jej dyrektora Walickiego. Bohater, który po wstąpieniu do pracowni i złamaniu początkowych trudności, rad z siebie i ludzi, wybiega w pierwszej części opowiadania na pola i łąki, by wśród nich hukać wesoło i wywoływać miłosne echa swych marzeń: He - la! — przedzierzga się w części drugiej, głównie pod ciosami owych bożków ex-machina, w jakieś zdziczałe, sponiewierane i rozbrykane bydlę, które rywalowi swemu Zaniczowi „wybija zęby,“ łbem tłucze go o komodę wobec gości, ubustwianej do niedawna Heli, a do

A. ŚWIĘTOCHOWSKI.

DUCHY.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ZWIASTUN.

Widok 23.

Blizko Tenery, stolicy Protoryi, przysiadły rozrzucone małe wyniosłości, jak gdyby odbite od stada gór wielkich, które zapadły dalej aż na krawędzi prowincyi. Jedno z tych wzgórz, chudą trawą porosłych, okryło się ogromnem mrowiskiem ludzkiem, oczekującem na Arjosa, którego przybycie wieść zapowiedziała. Znalazła się tu jego rzesza z Omala, ale powiększyło ją wiele nowych dopływów ludzkich, między którymi największą rzekę tworzyli niewolnicy.

Głosy.

— Karawana, która przywiozła tkaniny jedwabne na wielbłądach, spotkała go w wiosce Silon o dzień drogi stąd, pośród tłumu ludzi, których nauczał.

— Mówią, że z Omala przeleciał powietrzem do pustelnika Aleba.

— Po co?

— Może zbiera świętych.

— Jeden z kupców karawany opowiada, że widział cud jego. Jakiś chory nędzarz, czując nadchodzącą śmierć i nie mając nikogo, ktoby go pogrzebał, sam wykopał sobie dołek na cmentarzu, legł w nim i zasypał się ziemią tak, że tylko głowę i ręce pozostawił odkryte. Arjos, dowiedziawszy się o tem, poszedł do niego, kazał mu wstać i pójść za sobą. Pomimo że człowiek ten już dogorywał, natychmiast wyskoczył z grobu i jest zdrów.

— Słyszałem także, że umarłych wskrzesza.

— Ach, czemu on żywych gnębicieli nie zabija! Co to będzie, co to będzie! Dziś znowu wielkorządca Protoryi przysyłał rozkaz, ażeby wszyscy rozeszli się do domów, bo inaczej nas rozpędzi.

— Kim? Wszystkie oddziały wojska wyruszyły na wojnę, podobno nawet niedaleko toczy się od wczoraj bitwa.

— Co to za sznur ludzi tam się ciągnie?

Jedni drugich zaczepiali tem pytaniem i wkrótce wszystkie spojrzenia pobiegły w kierunku szarej, podłużnej plamy, która wiła się po skrętach południowego gościńca. Nareszcie, ktoś dalej od innych sięgnąwszy wzrokiem, zawołał:

— Arjos!

Słowo to powtórzyły wszystkie usta, z których zerwał się tuman okrzyków. Słychać w nim było gwałtowne wybuchy płaczu i radości, a niektórzy z pielgrzymów, powaleni napadami chorób, tarzali się bezprzytomnie po ziemi. Orszak zbliżył się do góry: na czele jego postępował Arjos w towarzystwie Aleba i Biona, a za nimi kilkunastu ludzi dźwigało na dwojgu noszach nieruchomo leżące i nakryte ciała.

Arjos.

Niech będzie ukochany bóg miłości.

Zdjęto z ramion i położono na ziemi nosze.

Z trupów, zaściełających bojowisko, dusze uleciały do Eliona; my znaleźliśmy i zabrali dwa jeszcze żywe ciała dowódców, którzy najechawszy na siebie, przebili się wzajem włóczniami: jeden z nich walczył na czele oddziału wojska Protoryi, drugi przywodził koczownikom pustynnym. Może jest kto między wami, dla kogo oni są dobrem na ziemi?

Odsłonięto rannych. Leżeli z przymkniętemi oczami w bladych twarzach. Przez półotwarte ich usta przesuwał się ciężki oddech cierpienia, a na obnażonych piersiach z pod liści, przylepionych do ran, wybiegły wokoło przyschłe strumienie krwi. Zstąpiła się koło nich masa ludzi, którzy zaczęli ich rozpoznawać.

niej samej woła: „Odejdź, sroko, bo i ciebie będę bił“...

Czy to powolano było znaczyć i świadczyć, że myśl, sama przez się dorzeczna i krok, z istoty położenia logiczny, wywróciły koziołka, dlatego, że się zetknęły z rzeczywistością twardą? że niejako w poczęciu już swojem, uzbrojonem w patent gimnazyalny były niedojrzałe i bałamutne? — Wyglądałoby to może tak i dowodziłoby zapewne tego, gdyby obok pewnej ilości zdarzeń fotograficznie zdjętych z natury, rzetelnie zapisanych z kajetu postrzeżeń, doświadczeń i wspomnień osobistych, mniej czuć było wszędzie, szczególnie zaś w części pierwszej, farbę roboty pisarskiej i złej kompozycyi autorskiej. Jedno i drugie — obserwacya bezpośrednia i sztuczne wznoszenie z jej cegiełek całości, nie są pozbawione zalet pierwszorzędnych. Wybrnąwszy z preliminaryów uczuciowych i dopasowanych na chłodno, po wygorzeniu pierwotnego paliwa, więc nudnych, ckliwych, rażących gdzieniegdzie swym fałszem, wstępujemy po drabinie scen mniej więcej fikcyjnie i przybłędnie do akcyi wprowadzonych (pożar i obłąkanie), szczokolwiek odrysowanych i skoloryzowanych świetnie, na jakieś podwyższenie, z którego widok zajmuje nas mocno i w końcu pochłania zupełnie — do samego końca przedstawienia. Jest to niezaprzeczony tryumf artyzmu, ale nie prawdy życiowej, o ile ją określić chciał tytuł a uwydatnić miało zapoczątkowanie i założenie „fachowe.“ Paralelizm życia i idei, faktów i zmyślenia, wiąże się i gmatwa raz po raz bardzo zręcznie, lecz nie stapia się nigdzie na potok zdarzeń jednorodnych. Skutki czerpią dla siebie powody raz w jednem, drugi raz w innem źródle i nigdzie nie zdobywają się na swój własny, zespolony ciężar gatunkowy. Powstaje stąd dziwno złudzenie. Nurt wypadków jest wartki, ale się ciągle wydaje, jakoby pochyłość łożyska pod nim była nienaturalną i mogła każdej chwili odwrócić się wstecz.

Przypuszczenie, nie przypuszczenie — rzućmy na te wody czółenko ślósarskie Kazia Zaliwskiego, uwolnijmy je od postronnego działania pomp hydraulicznych (zawsze ów „pożar,“ zawsze owo „obłąkanie“ Walickiego), pozostawmy kierunek jego biegu wyrokom żywiołów powszednich — nie zdziwimy się bynajmniej, gdy zapłynie ono akurat tam, skąd wypłynęło. Dla sprawdzenia, niech czytelnik zacznie od str. 275, na której Kazio, porwawszy za rękę Helę, ciska jej w żywe oczy: „ja robotnik, ja cham pluję na was wszystkich i na pannę razem z jej miłością“ — i niech odtąd, odwracając kartkę za kartką, uważnie postępuje aż ku stronicom 61—30, tam, gdzie Zaliwski siebie zapewnia, że „gdy mi wieniec sławy podadzą, wtedy powiem, że nie ja, to ona, Hela to sprawiła,“ a dziękując niebu, że spotkał taką kobietę, szczerze wzdycha: „toż to modlić się wprost do niej!..“ W granicach właściwych, na gruncie zasadniczo sprzęgającym się z istotnym wątkiem powieści, otrzymamy fabułę nową, równie dobrą, a poniekąd nawet od danej prawdopodobniejszą, psychologicznie lepiej wymotywowaną, a w każdym razie pożądańszą. Wpierw wytłuc dziewczynę, a dopiero później ją wycałować— alboż to nie zgodniejsze z potrzebą serca, wymaganiem rozumu i przeznaczeniem romansu?..

Żaden żart tego rodzaju nie ima się ust na odgłos imienia innego debiutanta, p. Wacława Sirki, wobec wspaniałego jego płótna „Na kresach lasów.“ Ma się przed sobą zjawisko zupełnie wyjątkowe: dzieło pod względem wymiarów estetyki klasycznej, upstrzone niezliczonymi błędami rysunku, perspektywy, scenery itp., ale ogromne, potężne, przelewające się po za brzegi nadmiarem skupionych w niem odwzorów przyrody i ujętego w jakuckie jej pazury człowieczego bytu.

Co za styl! Prawdziwy cmentarz podbiegunowy: „na ziemi leżą klody — tu stare, zmurszałe, zgnilizną tchnące i jednolitą warstwą mchów i liszai pokryte, owdzie świeże jeszcze, żywicę z ran swoich sączące — leżą rozpostarłszy szeroko gałęzie, potraciwszy w upadku kruche wierzchołki, pojedyńczo lub kupami, gwałtownie z ziemi wyrwane, ze szmatami torfu i darni...“

Co za obrazy! Chwytają cię one za wszystkie zmysły i członki ciała, niby mróz syberyjski — za nos, za uszy, za nogi, za czub, odrazu. „Śnieg padał drobny jak kurzawa, tworząc białą mgłę, która zwiększała ciemności, otaczające jurtę za miastem. Przed jurtą, wśród tulących się do siebie chlewów i chatek, stały narty, zaprzężone w reny. Zwierzęta, zmęczone i wygłodniałe, leżały przyprószone szronem, podwinąwszy pod siebie nogi; gdy się Ujbańczyk zbliżył do nich, wstały, spoglądając lękliwie i smutno... W izbie, gdy wszedł, pełno było ludzi. Na progu owionęło go ciepłe, duszne powietrze, przesiąkłe dobrze mu znaną wonią mieszkańców tajgi, przypominającą zepsute ryby, reniferowe skóry, krowi nawóz i dym machorki. Chwilę stał odurzony. W jurcie, mimo tłumu, było spokojnie i cicho; niekiedy tylko rozlegał się krótki, urywany okrzyk lub wzrastał szmer rozmowy, natychmiast tłumiony ogólnem sykaniem. Cała ciekawość tłumu skierowaną była w krasny róg izby, skąd po przez ścianę ciał ściśle do siebie przylegających, po nad głowami w jeden punkt zapatrzonemi, płynęło łagodne, jedyne w jurcie światło. Po szeleście kart, po dźwięku pieniędzy, Ujbańczyk poznał, że grają...“

Co za ludzie! Nigdy resztki przedpotopowego mamuta, zakonserwowane w wiekuistym lodzie, nie wyglądały lepiej. „Jedz! czemu nie jesz? — Jak nie było, to nie było; teraz, gdy Bóg dał... Ruski mało je — mało robi, jakut dużo je — dużo robi: jakut zwycięży... Jedz-że!.. I rzeczywiście, było coś epicznego w tej uczcie wyniszczonych długim postem nędzarzy: jedli, jedli, jedli — i zdawało się końca nigdy temu nie będzie. Gdy znikły stosy mięsa, ukazały się olbrzymie misy pełne polewki ze krwi, zaprawionej mąką, a gdy te opróżniono, zaraz znów stawiano mięso surowe, warzone, pieczone, smażone, gnaty i piszczele, żyły i chrząstki — i od rana do wieczora trwało to ucztowanie, przerywane tylko chwilami snu ciężkiego, pijackiego. Zajadano na rozmaity sposób, razem, zosobna, u stołu, po kątach, za przegródką, na ławach, chrapiąc na rozmaite tony, którym wtórowała przeciągła czkawka. Ociężali, niemrawi, ciężko sapiąc, wylegiwali się na ławach lub jak struci włóczyli się po kątach i tylko zjawienie się na stole nowego dania ożywiało ich i łączyło...“

I jakże licho, kuso, mizernie... a raczej jak kwieciście i rajsko wyglądają udręczenia i męki własnej naszej, europejskiej cywilizacyi, ze wszystkiemi jej piekłami przemysłowo-fabrycznemi i kapitalistycznemi — wobec niebotycznych, bezbrzeżnych, po same krańce mgieł oceanu lodowatego rozpostartych pustkowi uczucia, myśli, wyobraźni; ducha! Zbój — najprostszy zbój z „tamtego“ świata, barczysty, opasły, zabartowany, wilkołak z temperamentem, wieprz z niewybrednością, schnie i zamiera z tęsknicy, gdy go rzucisz w tę otchłań martwoty bez dna,

---

Głosy.

On, on, straszny Beg, który zabrawszy raz stado naszych koni, przywiązał im do ogonów dwudziestu pasterzy.

— Ile on porwał kobiet z pogranicznych wiosek!

— A ile nabrał pieniędzy od tych, którzy się okupywali przeciw jego napadom!

— Orio! Spotkaliśmy go pod Omalem, gdy jechał z oddziałem na wojnę.

Jak klin rozłupujący pień, przecisnął się przez zwarte koło widzów stary niewolnik i stanął przy noszach.

— Tak, to Orio, mój pan poczciwy. Przez lat pięćdziesiąt karmił mnie resztkami jadła swoich ulubionych psów, okrył mi ciało, jak słodki melon, siatką blizn, kłuł mnie ostrogami, jak ukochanego konia, wybrał moją kobietę do namaszczania go olejkami, zamknął moje dziecko w żelaznym pancerzu, ażeby skarlało. Chciał bogu dorównać i tyle uczynić zła, ile on stworzył dobra. Nie zdążył, choć się spieszył.

Podczas mowy niewolnika Orio otworzył oczy i wyszeptał:

Orio.

Przebacz mi... jesteś pomszczony... ty żyjesz, a ja... umieram.

I skonał. Beg, jak gdyby otrzeźwiony podmuchem śmierci, która obok niego zgasiła życie, odemknął również oczy.

Beg.

Gdzie ten dobry człowiek, który mi włócznię wyjął i ranę opatrzył?

Arjos.

Czego chcesz?

Beg.

Połóż mi rękę na ustach.

Arjos dotknął ust jego ręką, którą on ucałował.

Żyć będę...

Arjos.

Skoro tamtemu bóg wziął duszę, oddajmy ciało ziemi, a skoro temu ją pozostawia, zastąpmy mu boga.

W dolinie, która obiegała wokoło górę, wykopano grób i złożono w nim zwłoki Oria. W pobliskiej zaś kępie krzaków urządzono z płaszczów namiot, w którym spoczął Beg. Podczas tych robót Arjos chodził śród rzeszy, słuchał jej próśb i skarg, jednych pocieszał, drugich uzdrawiał, a wszystkim miłość zalecał. Stanąwszy na wierzchu wyniosłości, patrzył długo w słońce, które spieszyło ku zachodowi, jak gdyby mu chciał powierzyć widziane i słyszane tego dnia smutki dla odniesienia ich bogu. Gdy wreszcie zsunął oczy z nieba na ziemię, dostrzegł maleńką karawanę, która podążała drogą od miasta. Przodem na ośle jechała biało odziana kobieta, przy której postępował niewolnik; za nimi szła para ludzi. Arjos nie zdejmował wzroku z tej gromadki. Nagle śród jednej grupy tłumu, złożonej z niewolników i trzymającej się łącznie, zakipiała żywa rozmowa. Kilku z nich wbiegło na pagórek, rzuciło innym krzyk i wszyscy, jak kłąb kurzu poderwany wiatrem, popędzili ku przybywającym. Wkrótce opadli oni kobietę, która zsiadła z osła i legła jej u stóp. Powstawszy, otoczyli ją półkolem i ruszyli, śmiejąc się, płacząc, padając co chwila na kolana lub wznosząc ręce do nieba. Arjos zstąpił ku nim z góry.

Głosy.

— Orla, pani nasza, dobra pani nasza!

— Święta orędowniczka!

— Ona nas wysłała!

— I sama przyjeżdża!

— Poczciwy Stornik, Tarlon, Ega strzegli jej!

— Bóg zmiłował się nad nami.

Arjos, któremu łzy w oczach migotały dziwnym blaskiem, spoglądał niby dwiema gwiazdami na to rzewne powitanie i stojącą przed nim we wzruszeniu Orlę.

Arjos

Oto jest miłość, która się bogu podoba! Bądź za nią błogosławiona, dzieweczko.

Orla.

Nie poślubiłam dotąd serca mojego nikomu, ale dzieweczką nie jestem. Opuściłam męża i wraz z nieszczęśliwymi jego sługami przychodzę do ciebie nauczyć się

w tę ciemnicę skamienienia bez iskry pociechy jakiejkolwiek; a cóż dopiero człowiek wykształcony, taki Paweł Szczerbina, bohater Sirki, zjeżdżający tu w lakierkach, z „kubikiem“ herbaty na zapas i sążnistą paką książek, traktujących o przebudowaniu natury i wszechbytu za pomocą ekonomiki społecznej!.. Z powodu tego kontrastu dzieje się w książce coś rzeczywiście strasznego. Nawet człowiek, który nie raz i nie dwa zaglądał śmierci w same ślepie i któremu się zdaje, że nic go już wstrząsnąć i przerazić nie zdoła, drży i skręca się w sobie, przygnieciony i upokorzony widokiem takiej nicości. „Czas, pomimo iż się dłużył nieskończenie, uciekał szybko. Zima zapadała głucha, mroźna, skrzepła. Słońce nie ukazywało się już na horyzoncie, a brzask różowy, który oddzielał dobę od doby, zmalał do wązkiego, krwawego paska, na krótko ukazującego się na południowej stronie nieba. Zniknął nareszcie i ów pasek, i noc ametystowa, jednolita, nieprzerwana, milionami gwiazd połyskująca, zalegała widnokrąg od końca do końca...“ Naraz, rozlega się po okolicy okrzyk: Babula! Babula idzie! — To ospa! Co żyje, zwaliło się po chatach do kupy, z których niebawem, właśnie wskutek tych zbiegowisk, pozostaną tylko góry gnoju... Przedtem jednakże pomyślano i o ratunku. „Zrobiono małe saneczki, zaprzężone w strugane koniki, wsadzono do nich czerwono ubraną lalkę, nakładziono przy niej masła, placuszków, łakoci, nawet pieniędzy, i postawiono to na rozdrożach, w tej nadziei, że anuż-no Babula się skusi i odjedzie...“

Lubo opowiadanie Sirki ma wygląd objektywny i postać główna jest, jak i inne, osobą trzecią (on — Paweł), to jednak nie ulega wątpliwości, że ma ono osnowę i wątek całkiem autobiograficzne, równie jak u Berenta. Nie brak więc i w niem rozmaitych kombinacyj i suggestyj podmiotowych, używanych na sposób pozłoty w jubilerstwie lub wapna w budownictwie. Są przytem i monologi jakieś niezrozumiałe, przestrogi czy napomnienia niewiadomo w kogo mierzone i do kogo stosowane. „Przeminie czas, rozwinie się przestrzeń i nieskończoność, gdyż nie będzie umysłu, coby je umiał odczuć... A przecież mogłoby być inaczej... Mogłaby walka zakończyć się zwycięztwem, gdyby nie samolubstwo, nie ślepota .. Na swarach i niezgodzie zmarnowali siły, niepomni, że każda chwila tyle może zaważyć, co wieczność... I oti mogli byli świąty kłaść sobie pod nogi, a życie jednostek przewidywaniem ducha w nieśmiertelność przeciągnąć, gdy tymczasem zginęli, umarli, na wieki i bez nadziei odrodzenia się w owocach swych dążeń“ (s. 379). Ale to są drobiazgi, krople w morzu. Wytyka je sprawozdawca, bo o czemżeby pisał? Co do historyka literatury, zaliczy on być może kiedyś, jeżeli nie „Fachowca,“ to „Na kresach lasów,“ lub naodwrót, do najbardziej znamiennych objawów umysłowości naszej w wieku XIX i choć w jednem z tych dzieł wykryje arcydzieło. Dziś — i trudnoby i jakoś nie wypada o tem wyrokować.

J. T. Hodi.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

Wydawnictwa zeszytowe. Ilustrowanych *Dziejów powszechnych* (nakład Bondego w Wiedniu) wyszły zeszyty 32—40. *Encyklopedyi rolniczej* — zeszyt 49 (kości — krochmal).

— Księgarnia Gebethnera i Wolffa zakończyła tomem 12-ym wydanie *Dzieł dramatycznych* W. Shakespeare'a. Księgarnia polska zaś we Lwowie doprowadziła druk *Arcydzieł Szekspira* do z. 43—48.

— *Biblioteka powszechna*, wydawana przez księgarnię T. Paprockiego, puściła w świat osiem nowych tomików: A. Fredry „Pan Jowialski,“ A. Urbańskiego „Z za kulis i ze świata,“ Cycerona „Mowa za S. Roscyuszem,“ J. Korzeniowskiego „Żydzi,“ J. Hołowińskiego „Legendy,“ M. Jokaja „Dziwne historye,“ J. Krasińskiego „Bajki,“ Z. Sarneckiego „Nowele.“

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wyszły obrazki sceniczne Z. Przybylskiego: „Dzień w redakcyi,“ „Zjazd koleżeński,“ „Przyjaciel męża,“ „Bzy kwitną,“ „Fotografia Jędrusia.“

— Tymże nakładem, w pięknem małem wydaniu wyszła *Odysseja* Homera, przełożona przez L. Siemieńskiego.

— Ukazały się pod tąż firmą dwie nowe powieści M. Gawalewicza *Bluszcz* (str. 268) i K. Glińskiego *Tarantula* (str. 285).

— W wydawnictwie popularnem księgarna Gebethnera i Wolffa wypuściła dwa dziełka: *Fizykę* B. Stewarta, w przekładzie W. Biernackiego (str. 235) i *Naukę o pogodzie* F. Piotrowskiego (str. 146).

— Nakładem Gebethnera i Wolffa wydany został pierwszy tom *Zarysu dziejów powszechnych* (starożytność) G. Egelhaafa, w przekładzie S. Krzemińskiego (str. 299, z mapką i tablicą synchronistyczną).

— Jako odbitka z *Tyg. ilustr.* wyszło *Kilka słów o malarstwie* H. Roszkowskiego (str. 35).

— Nakładem redakcyi *Przeglądu technicznego* wyszła broszura inżeniera K. Niewiadomskiego „Obliczanie robót ziemnych na stokach“ (str. 31).

— *O uprawie łubinu* A. Strzeleckiego (str. 51 — kop. 35).

— Pierwszy motyl kalendarzowy z datą roku przyszłego już wyfrunął. Jest to humorystyczny kalendarz *Muchy* p. t. *Facet.* Wesołości w nim dosyć.

POEZYE.

SONETY.

GROTA Św. tej SALOMEI W OJCOWIE.

„Gelidae mortis somnus et imago“ — taki
Napis wyryła święta na pustelni ścianie
I co dnia na kamiennym kładła się tapczanie,
Biała, cicha, spokojna, jak drzemiące ptaki.

I każdy dla niewiasty tej był dzień jednaki,
I jednakowe nad nią co noc ścian płakanie...
Jeśli wierzyć, że duch jej kiedyś na sąd wstanie,
Czy będzie miał na sobie życia jawne znaki?

Nie! To było królestwo mgieł; tu myśl wszechsilna
Nie tłukła się w otchłaniach odwiecznego wiru,
Tu życia krwawy olbrzym nigdy nie stał nago,

Tu pieśń trącała głosy, ale pieśń mogilna,
Tu był kir, a trup żywy wyglądał z pod kiru.
Niewiasta spała — somnus mortis est imago...

ZMIERZCH.

Zmierzcha się. Słońca nie było dzień cały.
Pod niebem tłumy siwych chmur leniwe
Bezmyślnie płyną — ogromne, półżywe,
Jak lawa, — dzień już udusiły biały, —

I oto kona, wilgocią nabrzmiały. —
One wciąż idą. Czyjeś dłonie mściwe
Na pustą nieba wtłaczają je niwę.
Jeżeli miesiąc wyjdzie tam nieśmiały,

Uduszą miesiąc i gwiazdy pochłoną —
I nic nie będzie, tylko chmury, chmury,
Duszność bezwładna i mrok na błękicie,

Aż skoczy burza, z przyłbicą czerwoną
I z wyjącemi na ramionach pióry,
Mgły te rozsadzić... Tak niejedno życie...

---

nowego życia, którego nie znam, a którego pragnę.

Arjos.

Uczyniłaś według woli boga. Nie masz męża, jeżeli nie masz kochanka. Wierzcie mi, małżeństwem jest tylko miłość mężczyzny i kobiety. Ona jedna ich łączy węzłem, którego nie zdołają rozerwać najpotężniejsze siły. Gdzie jej niema, tam najuroczystsze przysięgi są siatką wątłej pajęczyny. A gdyby kto z was przez całą wieczność powtarzał: muszę kochać, nie zdobędzie się na taką miłość, jaką uczuje ten, kto raz powie: kocham!

Tarion zdjął z osła worek i wysypał zeń u stóp Arjosa kupkę złota i klejnotów.

Orla.

Przyjm panie tę ofiarę, która wysiąkła z pracy niewolników naszych. Nie jest ona ani moją, ani rodziców moich, którzy mi ją w posagu dali, lecz należy do tych, którzy ją trudem rąk własnych dla nas wydobyli. Rozdaj to złoto i klejnoty na chleb ubogim, na odzież nagim, na wykup pozostającym w niewoli, a mnie naucz tak żyć, ażebym nie była ich krzywdzicielką i dłużniczką, ażeby moja szata, mój chleb i moja swoboda nie była dawaną mi przez nich jałmużną.

Arjos.

Słuchajcie, bóg w nią wszedł i kładzie na jej wargi słowa swoje. To jego czysty, prawdziwy głos, którym mówił do mnie na wyspie milczenia. Ci, co uklękli przed nią, rozpoznali go w niej. Cała natura jest uzmysłowionym duchem jego, ale jak w języku ludzkim są wyrazy wymowniejsze od innych, tak między dziełami boga są twory, z których on objawia się zrozumialej. Tę kobietę uczynił on ciałem natchnień swoich. Bądź pozdrowiona między nami, oblubienico boga naszego.

Niewolnicy Orli ścisnęli się koło niej pierścieniem i z uśmiechniętym płaczem całowali jej szaty.

Miłość im dawała, miłość od nich odbiera. W tej garści złota, wytopionego z ich rąk, przyniosła nam wielkie przykazanie: będziesz spożywał tylko owoce pracy swojej. Wierzcie mi, tego bóg żąda i to robi. Bo czy go kto karmi i odziewa? Czyż on żyje z cudzej łaski i mozołu? Bądźcie jako ojciec wasz, który istnieje przez siebie i nie wyzyskuje dzieci swoich. Dotąd był jedynym duchem w przestrzeni światów, który nikogo nie uczynił swym niewolnikiem i niczego sobie nie przywłaszczył. Czyż ma pozostać jedynym na wieki? Całe stworzenie upomina was: ani wół nie pracuje dla konia, ani kot dla lwa, ani gwiazdy nie wyrabiają światła dla słońca. Te drzewa i kłosy zbóż nie byłyby tak bujne i świeże, gdyby same nie dobywały soków z ziemi. Bóg dał słowikowi piękny głos a kolibrowi piękne pióra, ale ich nie uczynił panami wróbla i dzierlatki. Gdy spoglądacie z wyżyn, które są zaledwie zmarszczkami ziemi, nikną dla waszych oczu różnice między chłopięciem a mężem, między dziewczynką a niewiastą; czy może tę różnicę dostrzegać bóg, który patrzy z nieba? On też nie widzi wielkich i małych ludzi, jak szczyt góry nie widzi wielkich i małych traw. Bóg stworzył wszystko i nie zna pychy; czyż może mieć do niej prawo człowiek, który nic stworzył niczego?

Przerwał. Wzrok jego unieruchomił się na jakimś punkcie w dali, podczas gdy twarz nagle zesmutniała. Drogą ku Tenerze przysuwała się wolno owinięta obłokiem kurzu gromada ludzi i zwierząt. Wkrótce można było rozpoznać ją dokładnie. Między bydłem, końmi i owcami szli związani w pary niewolnicy — mężczyźni, kobiety i dzieci — pędzeni przez kilku dozorców, którzy ciągle potrzaskiwali rzemiennymi batami. Na wozie, płócienną budą okrytym, jechał leżąc opasły handlarz ze złotemi obrączkami w uszach i na palcach.

Głosy.

— Prowadzą naszych na targ do Tenery.
— Dzieci już ustały.
— Och, jak je ćwiczą!

Tłum zalał drogę.

Handlarz.

Co to za trzoda? Na bok, hołota!

DO ESKULAPA.

Mój eskulapie, musisz być uczony, —
Znać rzeźbę myśli na czole szerokiem.
Musisz uczciwy być: tak pewnem okiem
Nie patrzy chciwość — duszy czerw tajony.

Wiem, że cię ludzie czczą. Na wszystkie strony
Imię twe z pochwał rozbrzmiewa potokiem.
Niechwiejnym idziesz w nieśmiertelność krokiem,
Lecz mnie — daj pokój, jeżeli korony

Z laurów nie chcesz narazić na żarty.
Puls, oddech — zwykłe, ucho cię nie zwodzi,
A jednak, jednak — mój grób już otwarty.

Kat z obcęgami, jak cień za mną chodzi
I szarpie, serce mi szarpie na ćwierci.
To życie! Ty znasz tylko kata śmierci...

SERCE.

I znów przed tobą serce moje kładę,
Jak muszlę, pełną żałosnego głosu.
Spojrzyj! Złowieszczy ptak mojego losu
Gniazdo w niej utkał — ust weselszych zdradę...

Jeśli nań ręce położysz, jak blade
Na rzecz pamiętną dwie gałązki wrzosu, —
Jeśli posłuchasz, to może z chaosu
Szmerów szmer jeden urośnie w kaskadę

Smutku i żalu. Może ci się wciśnie
W duszę i zmarszczkę wyrzeźbi na czole, —
Znak zamyślenia. Może na ust wiśnie

Popiół posypie. Może plamę cienia
Położy na twych dróg obłędnem kole.
Będzie to w muszli dźwięk twego imienia.

MIŁOŚĆ.

Jedynej kropli z duszy mej kielicha
Dotąd złe życia słońce nie wypiło, —
To miłość! Chociaż nieraz słabiej biło
Serce, niż źródło, co mrze i wysycha. —

Jedno nade mną jeszcze echo wzdycha,
Jak wiatr, co przyszedł śpiewać nad mogiłą,
To echo słów twych — choć nieraz się śniło,
Że Bóg w otchłanie piekielne mnie spycha.

Jedna nade mną jeszcze gwiazda świeci,
Jako nad ptakiem, co w chmurach zabłądził —
To cień twój. Jeśli kiedy mnie odleci,

Jeśli się z tobą o twą świętość skłócę, —
Znak to już będzie, że mnie Bóg osądził...
Nie wiem, co pocznę i gdzie się obrócę.

DO PRZYJACIÓŁ.

Mówicie nieraz, moi przyjaciele,
Żeście mi wszystko uczynić gotowi.
Nie jestem przecie pająkiem, — któż powie,
Że żądam „wszystko," że nawet chcę „wiele."

Ale o drobiazg prosić się ośmielę,
Drobniutki jeden drobiazg. Motylkowi
Na skrzydła ciężkim by nie był, — wy, zdrowi,
Rozumni, łatwo sprawicie się w dziele.

Zapadł mi w duszę podejrzenia pyłek,
Że to, com kochał, nie warte kochania,
Zdejmcie mi proch ten. Wiem, — myśli omyłek

To płód jest, przecież palce gryzę w męce,
Chce mi się szarpać i wyć. — Zmiłowania,
O druhy!.. Jakto?! Opuszczacie ręce?

ROZMOWA.

Jeśli chcesz mówić ze mną o pogodzie, —
Niech tam! Będzie to tylko bardzo nudne.
Jeśli historye chcesz mi prawić brudne
Wytrzymam, chociaż z uszami w niezgodzie.

Jeśli opowiesz, co nowego w modzie,
Lub zechcesz zwierzać myśli swe nietrudne,
Wreszcie żałować mnie, żem blady, chudnę, —
Sto cierpliwości zachowam w odwodzie!

Lecz jeśli mówić chęć cię weźmie płocha
O ideałach, — przestań, na pioruny!
Skąd prawo dręczyć mnie? Czyś ty macocha?

To są złe duchy, co nas wiecznie pędzą
Szukać swych wcieleń, choć wiedzą, że truny
Skarb ten ukradły życiu .. Nie bądź jędzą!...

Maryan Zbrowski.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z GALICYI.

Nieraz już zaznaczałem w *Prawdzie* nieprawidłowo stosunki, panujące w Galicyi. Niejednego to dziwi, że się o złem ustawicznie mówi, a czyż może być coś bardziej naturalnego? Stosunki prawidłowe nie ciężą nikomu, dogadzają interesom i potrzebom większości, z natury więc rzeczy mało podlegają krytyce; złe wymagają poprawy — i tu właśnie, mojem zdaniem, tkwi najważniejsze zadanie uczciwej publicystyki, która powinna je wskazać bez ogródki, bez względu na to, jakie wywoła wrażenie pewna wiadomość. Samo zanotowanie faktu często wystarczy do poprawy.

Musiałem tych kilka słów powiedzieć niejako w obronie własnej, gdyż korespondent wasz spotyka się tu na miejscu z zarzutami bardzo ostrymi, że krytykuje działalność ludzi i instytucyj najpoważniejszych, a przez to dostarcza niemcom doskonałego materyału dowodowego przeciwko wam. Wprawdzie, przyznają cichutko, że w tem wszystkiem, co piszę, jest — prawda, ale... poco o tem pisać? Pokrywanie złego, z tytułu poszanowania dla własnej chaty, jest zasadą niesłychanie szkodliwą. Przypomina to gospodynię, która zamiata tylko środek izby, a śmiecie, zamiast wyrzucać, zagarnia w kąt, za szafę lub pod łóżko. Tak więc to, co oczy ludzkie często oglądać mogą, świeci czystością i porządkiem, a to, co ukryte — gnije. I jakież tego następstwa? Śmiecie zaczyna żyć, żyje przez rozkład, wytwarzając naprzód wstrętną i szkodliwą dla ludzi atmosferę domową, a potem pobudza do życia miryady drobnych, niewidzialnych istot. Jako najbliższy rezultat pokrywania zamiast wyrzucania śmieci, jest choroba fizyczna ludzi, powstanie i rozrost grzybów domowych, a wreszcie wytworzenie się owadów szkodliwych. Ochranianie śmieci przyczynia się więc do ruiny chaty i jej mieszkańców. Porównanie to ze świata fizycznego da się w zupełności przenieść, ze wszystkiemi następstwami, do moralnego, z życia prywatnego do publicznego.

Powoływanie się na to, że „są prawdy, których mędrzec nie mówi nikomu" — jest bardzo nieszczęśliwie zastosowane i bardzo niebezpieczne. Tak, w życiu prywatnem są prawdy, które człowiek kupuje kosztem doświadczenia — i nie mówi nikomu albo szuka dla nich formy odpowiedniej; ale w życiu publicznem takich prawd niema, bo milczenie jest często zbrodnią, lekkomyślnością lub głupotą szczęśliwą, zadowoloną z okruchów.

Możecie się przeto gniewać na mnie, wielmożni i jaśni, wielcy i mali; ja, we-

Głosy.

Odbijmy braci! Teraz wszyscy wolni!

Arjos.

Nie czyńcie gwałtu! Czyżby bóg nie uzbroił rąk waszych, gdyby je stworzył do walki?

Kobiety.

Pić, pić!

Dzieci.

Chleba, kawałeczek chleba!

Arjos.

Dokąd wiedziecie tych ludzi?

Handlarz.

Jakich ludzi? Pędzę niewolników na jutrzejszy jarmark do Tenery. Ale możesz ich dziś kupić, jeśli masz za co.

Mężczyzni.

Kup nas, panie, bo poczciwie na nas patrzysz. Będziemy ci wierni, pracowici. Jemy cokolwiek, znosimy wszystko.

— Kup mnie, panie, jestem jak wół zdrów i mocny a niewybredny.

— Kup mnie, panie, będę strzegł dobra twojego czujniej, niż pies. Dotąd było mi bogiem wszystko, co pańskie. Modliłem się do konia, osła, gęsi, kury, wozu, sochy, wideł, ażeby nie zdechły i nie zepsuły się. Bogami będą mi również rzeczy twoje, panie.

Kobiety.

— Kup mnie, przędę cienko, jak liszka.

— Kup mnie, umiem tuczyć jagnięta.

— Kup mnie, mam ciało zdrowe i młode.

Dzieci.

I nas weź, dobry panie, wyłuskamy ci starannie bób.

Jeden z niewolników.

Po co skomleć! Ten czy inny—wszystko jedno. Zawsze kij będzie waszym panem.

Arjos stał niemy w dreszczach boleści.

Handlarz.

Kupujesz ich, obywatelu, czy nie?

Arjos.

O, czemuż ich dobrowolnie oswobodzić nie chcesz!

Handlarz.

Ha, ha, ha!

Arjos.

Oblicz złoto, które w nich masz.

Handlarz.

Pięć... dwadzieścia... sto... dwieście złotników za wszystkich.

Arjos.

Tam na piasku leży kupka złota, które święta dusza złożyła w ofierze niedoli. Idź i odlicz sobie zapłatę.

Handlarz wysiadł z wozu, ukląkł przy pieniądzach, które Orla przyniosła i wziął zeń sztuk dziesięć.

Handlarz.

Nie widziałem jeszcze złota w takiej poniewierce. Zapewno posiadasz go bardzo wiele. A bydła nie kupisz?.. Mam także śliczne rubiny... Nie chcesz niczego więcej?

Arjos milczał — handlarz wsiadł na brykę.

Życzę ci, ażeby nie pozdychali.

Odjechał.

Arjos.

Ziemio, wydobądź wszystko swoje złoto i wykup niem nędzę ludzką!

Niewolnik.

Do czego mnie, panie, przeznaczasz?

Arjos.

Jesteście wyzwoleńcami tej niewiasty, która was ukochała.

Niewolnik.

Za co?

Orla.

Bo wy bracia i siostry moje. Bóg to uznał i Arjos zwiastował.

Niewolnik.

Któryż z bogów jest tak dobry?

Arjos.

Jeden, który jest.

(D. c. n.).



dług mego rozumienia rzeczy, będę pisał o tem, co uważam za prawdę. Do nieomylności nie mam pretensyi, wiem, że jest ona śmieszną — nawet w Rzymie; ile razy jednak cudza krzywda mię zaboli lub stanie się niesprawiedliwość publiczna, ile razy wszechmożna ręka protekcyi wywlecze za uszy na szerszą widownię jakie pokorne i usłużne zero, albo polip pokrewieństwa, pochlebstwa da miejsce głupocie, a usunie ze stanowiska zasługę i wiedzę—będę milczał wtedy dopiero, gdy nie będzie już ani jednego uczciwego i odważnego pisma.

Sprawa Gałęzowskiego jest już czytelnikom znana. Odepchnięto człowieka, ofiarującego bezpłatnie wiedzę i pracę, zaprosiwszy go lekkomyślnie i potraktowawszy wreszcie tak, jak się nawet nie traktuje żaków. Cała tajemnica w tem, że Gałęzowski nie jest Stańczykiem i przed Austryą pokłonów nigdy nie bijał. Przez krótką chwilę rada uniwersytecka krakowska stała na stanowisku ludzi nauki, nie polityków. Dla wiedzy polityka nie ma znaczenia. Widocznie jednak nie zasięgnięto rady najwyższego kacyka stańczykieryi, uznającego tylko własną uczoność—p. Tarnowskiego. Otóż po naradzie postanowiono nie przyjąć do swego grona Gałęzowskiego: jest on niezależny, posiada wiedzę, szacunek i nie należy do nas. A nuż nie zechce słuchać? A nuż, gdy rozpatrzy się pomiędzy nami, przyjdzie mu kiedy ochota dmuchnąć w ul stańczykowski?

Krótko mówiąc, jak na teraźniejsze stosunki krakowskie i lwowskie, dr. Gałęzowski za wiele umie — krępowałby i może kompromitował tych doktorów austryackiej filozofii, którzy, złożywszy egzaminy, już potem o naukę niezbyt się troszczą, a w życiu idą nie zasługą, lecz *kupą*, czyli wzajemnem poparciem i giętkością karków. Nazywa się to równością charakteru, powagą, spokojem, taktem itd. —jak się komu podoba. Dla tej konfraterni pseudo-uczonej, która plecami pracuje i zdobywa stanowisko, dr. G. nie mógł być odpowiednim profesorem. Ażeby go do tego stanowiska nie dopuścić, dano mu uczuć przedsmak panujących na uniwersytecie stosunków i przypomniano sobie, że istnieje obowiązek całorocznych wykładów—zapomniano jednak dodać, że nie stosuje się do tego przedewszystkiem pan hrabia Tarnowski, że profesor filozofii, Czerkawski, długie lata nie wykładał wcale, polityknje w Wiedniu, a jednak nie dopuszczał do katedry nikogo i z prawdziwie filozoficznym spokojem brał pensyę profesora czynnego — do własnej kieszeni. Profesorowie uniwersytetu, zasiadający w Radzie państwa, nie wyłączając prof. Piętaka, który, jak powiadają, nawet czesne brał, przez pół roku i więcej nie miewają wykładów, a jednak są profesorami. Naliczyłbym i więcej takich przykładów. Nie te więc przyczyny działały w całej sprawie, ale wylazły — rogi stańczykowskie. Czyż to nie nadużycie publiczne? Czyż to nie krzywda młodzieży uczącej się, którą pozbawiają dla stronniczej polityki, wiedzy prawdziwej? Kogóż panowie krakowscy mają lepszego na tę katedrę w kraju? Opinia publiczna widzi tylko jednego dr. Macheka ze Lwowa, który mógłby ją zająć, ale wobec takich stosunków rzecz bardzo wątpliwa, czy zajmie.

Rozwielmożniona stańczykierya ma swoje sposoby obsadzania ludzi — ona kształci ich sobie, a dzielnych i światłych zastępuje — pokornymi. Do takiego manewru uciekła się teraz, gdy po śmierci Lotara Darguna, profesora prawa niemieckiego, znanego w świecie naukowym, wyhodowała sobie następcę w osobie dr. Stanisława Estreichera i dla douczenia się wysłała go za — granicę. Młodość nie jest wadą — to prawda, nauka zaś nie jest szczytem niedościgłym, a jednak... nawet chyba w uniwersytecie krakowskim nie zdarza się, ażeby profesorom św. teologii polecono wykładać, dajmy na to, geometryę wykreślną. Tu właśnie nasuwa się pytanie, skąd przychodzi p. Estreicher jun., człowiek skądinąd może zdolny i najlepszych chęci, autor rozprawek *estetycznych* o Faleńskim i Szekspirze, rozprawek studenckich, bez wartości—do zastąpienia na katedrze *prawa niemieckiego* Lotara Darguna?

A jednak dzieją się takie cuda nietylko w Krakowie. I Lwów ma swoje humorystyczne „kawałki.“ Usunął się niedawno z katedry filozofii dr. Raciborski. Nie geniusz bynajmniej, ale człowiek prawy, wiedzy zwykłej, charakteru czystego. Powiadają, że przypatrzywszy się panowaniu koteryi, tajemnym walkom między sobą w łonie świata naukowego, pewnego pięknego poranka, przyszedłszy do przeświadczenia, że w takich warunkach pracować nie warto, podał się do dymisyi. Naturalnie, dymisyę przyjęto z wdzięcznością, a na jego miejsce zaproponowano — nie śmiejcie się — jak Boga kocham, prawdę mówię, Wojciecha hr. Dzieduszyckiego! Jeżeli będzie takim filozofem, jak jest powieściopisarzem i dyrektorem teatru ludowego — to dalibóg skapcanieje filozofia na świecie. Bodaj to posiadać Jezupol z przyległościami, chociażby odłużony; można sobie pisywać „listy z Jezupola“ i zostać profesorem filozofii na starość. Wziąwszy na uwagę znaną i uznaną uniwersalność p. Wojciecha hr. Dzieduszyckiego, śmiałbym go zaproponować jeszcze na profesora okulistyki do Krakowa — ale czy nie będzie Kraków za mały dla dwóch wielkich hrabiów?

Tak się dzieje na wyżynach tego świata, który rości sobie prawo do przedstawicielstwa w dziedzinie nauki i z charakteru swego jest powołany do podnoszenia poziomu oświaty i wiedzy; obaczmy teraz, co się dzieje na nizinach. Dużo się o tem mówi, o, dużo! Chcę parę słów powiedzieć o położeniu nauczycieli wiejskich, bo tu na tych nizinach oni tylko są roznosicielami światła. Ciężka jednak jest ich dola.

Czytelnicy *Prawdy* przypominają sobie, że w zimie nauczyciele wiejscy, wyczerpawszy wszelkie środki zdobycia pomocy w poprawieniu swego losu, zawisłe od Rady szkolnej i straciwszy nadzieję zyskania czegoś, złożyli petycyę wprost do Rady państwa, na ręce posła niemca, z pominięciem Koła polskiego, nieupatrującego w poparciu nauczycieli żadnych korzyści dla siebie. Narobiło to dużo wrzawy i niezadowolenia — chociaż ludzie bezstronni jednogłośnie przyznali, że położenie nauczycieli wiejskich w Galicyi jest rozpaczliwe. Przytoczę tutaj przykłady, które się zaprzeczyć nie dadzą.

Oto los jednego z tych biedaków. Był on nauczycielem lat trzynaście w okręgu łańcuckim; pracował w klasie, a raczej w kurniku, mającym 5,70 m. długości, 5,50 szer. i 2,50 wysok., do którego uczęszczało 180 dzieci dziennie. Wskutek nadmiernej pracy i zepsutego powietrza, zapadł on w lutym r. z., jak prawie każdy nauczyciel wiejski, na chorobę piersiową. Dla poratowania zdrowia otrzymał przeto urlop trzymiesięczny. Lekarze orzekli, że zupełny powrót do zdrowia może nastąpić po rocznym odpoczynku; prosi więc ponownie o urlop. Rada szkolna nie udziela go, lecz przenosi nauczyciela w czasowy stan spoczynku, wyznaczając 8 zlr. emerytury. Słusznie tedy powiada ten biedak, że lepsza jest dola wyrobnika dziennego, bo ten, jeżeli należy do swego stowarzyszenia, otrzymuje w czasie niemocy, jako czeladnik, najmniej 50 cent. dziennie, aptekę i lekarza darmo. Nauczycielowi zaś po trzynastu latach pracy, która zdrowie jego zrujnowała, Rada szkolna każe 25-u centami dziennie wyżywić rodzinę i nadwątlone zdrowie ratować. Łatwo to powiedzieć: ratować zdrowie, ale kto nie walczył równocześnie z nędzą i chorobą, ten o tem pojęcia nie ma.

Opowiedziane smutne dzieje nie są faktem wyjątkowym. Weźmy przykład z warunków pracy i życia. Nauczyciel pobiera, dajmy na to, 300 zlr. rocznie, tj. 25 zlr. miesięcznie. Jest to suma, że tak powiem, nominalna. Urząd podatkowy ściąga z niej 3 zlr. na fundusz emerytalny, 3 zlr. kosztuje usługa, 5 zlr. spłaca miesięcznie dług, zaciągnięty na pensyę z powodu choroby, pozostaje przeto 14 zlr. na życie, ubranie i utrzymanie siebie i całej rodziny. Zważywszy, że większość nauczycieli, z powodu małej sali szkolnej i nadmiernej pracy, choruje na piersi — łatwo sobie wyobrazić takiego nędzarza, pobierającego faktycznie 14 zlr. pensyi miesięcznie, a często jeszcze mniej, jeżeli są dawne zaległości. Biedak, którego budżet przytoczyliśmy, jakkolwiek chory, miesiącami całymi nie jada mięsa, żywi się tylko mlekiem, które mu dzieci, uczęszczające do szkoły, z łaski codziennie przynoszą; kapustą, ziemniakami i grochem bez omasty. Napełniwszy żołądek tak lekkostrawnymi pokarmami, idzie on do klasy, gdzie go oczekują chciwe pokarmu duchowego dzieci wiejskie w liczbie 173.

Nie bardzo się pomylę, jeśli powiem, że większość nauczycieli zwykłych szkół wiejskich w Galicyi jest tak samo uposażona i w takich samych warunkach pracuje. Wobec tego trudno się bronić: trzeba lepszych szkół i lepszego uposażenia. Można żądać pracy, ale niepodobna wymagać poświęcenia. Niech przeto Rada szkolna nietylko nad tem pracuje, ażeby karność wprowadzić do stanu nauczycielskiego, lecz żeby im dać także chleb powszedni dostatni i spokój. Ludzie głodni i niepewni jutra, nie są pożytecznymi i chętnymi pracownikami.

Cho.

Z NAD NEWY.

Samobójstwa i inne powszednie wypadki.

Statystyczne dane wykazują, że ze wszystkich głównych narodów europejskich, rosyanie mają najsłabszy popęd do samobójstwa. Ponieważ pomiędzy narodowością rosyjską a religią prawosławną zachodzi współrzędność w szerokim zakresie, a więc najmniejszą równoległe ilość samobójstw śród prawosławnych, niektórzy prawowierni statystycy rosyjscy przypisują wpływowi religii. Inne przypuszczenie — wpływ warunków ekonomicznych, — nie było dotąd podtrzymywane na seryo przez żadnego z teoretyków. W charakterze ludu rosyjskiego, którego duszą zachwycają się takiej miary pisarze, jak Tołstoj i Dostojewskij, uderzają dwie cechy: znaczna doza dobroduszności, której śladu nie znajdziesz w hardym chłopie niemieckim, doskonale obliczającym perspektywę przyszłych zysków, albo francuzkim, umiejącym leniwie marzyć o pewnym komforcie i samorodnej estetyce, lub wreszcie w robotniku angielskim, z ponurą energią domagającym się pewnej określonej „stopy życiowej;“ oraz druga cecha — dziwna u prostego ludu filozofia życiowa, wyrażająca się w tem, że wszystkie interesy materyalne uważane są za „tryń-trawa“ (marne zielsko), a na pierwszy plan występują kwestye w istocie filozoficznej natury: „Po co żyjemy i co będzie z nami po śmierci?“ Tę ostatnią cechę ludu rosyjskiego doskonale podchwycił i uplastycznił w swoich gorzkich nowelach sympatyczny pisarz rosyjski, Czechow, należący do grupy „młodych,“ nie bardzo obfitującej w prawdziwe talenty. Ta właściwie cecha sprawia, że dziś, gdy sokciarstwo na zachodzie odeszło już w da-

leką średniowieczną przeszłość, w niektórych okolicach Rosyi, na północy i na południu, władzom wypada wciąż jeszcze staczać z niemi uporczywe walki (por. nową sektę Tołstowców — duchoborców). Obie wspominane cechy, dobroduszność i pewien nastrój filozoficzny, sprawiają, że prosty człowiek ruski umie godzić się niekiedy z nadzwyczajnym losem i nie łatwo podnosi na siebie rękę.

W sierpniu krzywa graficzna linia samobójstw, zaczyna skręcać w dół. W lipcu dosięga ona zawsze swojego kulminacyjnego punktu. Jeżeli zważyć, że ciepło lata pozwala ubogim przesypiać się pod dachem z obłoków bez narażania życia, a tylko z narażeniem się na upomnienia nocnych stróżów i dozorców policyjnych, to względna wysokość linii samobójstw w tym miesiącu staje się zagadką. Próbował mi wyjaśnić ją jeden z domorosłych statystyków w ten sposób, że latem okna są otwarte, a woda w kanałach nie zamarznięta; zwłaszcza uważał za słuszną pierwszą przyczynę i zwracał moją uwagę na często w ostatnich czasach wypadki rzucania się z okien ludzi bez środków do życia, dotkniętych alkoholizmem mężczyzn i pijanych miłością kobiet. „Napisałem w tej kwestyi — powiadał ogromny artykuł, który zrobił szalone wrażenie na jednym z tutejszych redaktorów: nie zgodził się ze mną na żadnym punkcie... Chcecie, przeczytam go zaraz.“ Nie chciałem, bo właśnie przechodziliśmy Newskim prospektem, obok restauracyi, gdzie tegoż dnia, o godzinie 5-tej rano znalazł własnowolną śmierć na bruku brat szwajcara jadłodajni, robotnik, nie mogący dostać pracy.

Doprawdy, nie pojmuję, jak człowiek, nawet zrozpaczony ostatecznie, może decydować się na ten najstraszniejszy rodzaj śmierci. Godzę się, że można skoczyć do kanału Fontanki, bo jej wody umieją otwierać się i zamykać miękko, jak ramiona kobiety, w wypadku danego porównania dosyć brudnej. Rozumiem, że można zażyć trucizny, bo daje się ona zjeść z lodami ananasowymi, lub wypić w winie szampańskiem. Pojmuję, że można się nawet powiesić, gdyż jest to tylko „zbyt szczelne zaciśnięcie halsztuka“ i ma się przytem satysfakcyę pokazania języka światu jeszcze po śmierci. Nie znajduję nic strasznego w posłaniu sobie kulki w serce, gdyż dokonywa się tego momentalnem kiwnięciem palca na kurku. Ale przeraża mnie myśl o możliwości dotknięcia głową twardych kamieni, o podróży na tamten świat z ryzykiem stracenia nóg zamiast duszy i dostania się w poczet kalek, zamiast do orszaku cieniów elizejskich. Brak środków do życia, brak pracy — muszą być czemś strasznem, skoro powierzchnia brukowana kamieniami zamienia się w oczach nieszczęśliwych na trawnik róż i lilij śmierci...

Samobójstwo zaczyna być hardem. Nie chce już ono kryć się w domach prywatnych, a nawet i w pokoikach hotelowych, ani w głębinach wód na krańcu miasta. Coraz częściej wychodzi na ulicę, wyzywając szyderczo tych, co pragną żyć. Niedawno ktoś pozbawił się życia w katedrze kołońskiej, której stuletnie ściany jęknęły zgrozą od nieznanego huku wystrzału. Ktoś inny otruł się niedawno w ogólnej sali jednej z tutejszych restauracyj. Niejednokrotnie fale rzeki w samym środku miasta wynoszą na grzbiecie swoim martwe ciało. A oto najświeższy wypadek, z dnia 10 przeszłego miesiąca:

Na skwerze Michajłowskim, w pobliżu ławki na której siedzi staruszek o srebrnych włosach i czyta gazetę, bawią się dzieci. Naraz któreś z nich wszczyna krzyk: „staruszek się zastrzelił!“ Na ławce leży starzec z odchyloną głową; ze skroni sznurkiem koralowym spływa krew oczy zamknięte trupio, usta rozwarte, bez oddechu, twarz śmiertelnie blada. Obok na ziemi leży rewolwer i numer gazety, poplamiony krwią. W kieszeniach prócz kilku bezwartościowych papierów—płótno, nie mówiące nic o nazwisku i tylko trochę o powodach samobójstwa. Reporter *Gazety Petersburskiej* kilkakrotnie robi nacisk, że pismem, które czytał staruszek, była *Gazeta Petersburska* z dn. 9 sierpnia r. b. Czy to reklama dla zwiększenia liczby abonentów, dosyć ryzykowna, czy też wyjaśnienie przyczyny samobójstwa? Słyszałem, że sentymentalni młodzieńcy zabijali się po przeczytaniu „Cierpień Werthera,“ najwidoczniej nie zdążywszy przeczytać „Epigramatów“ Goethego. Słyszałem, że egzaltowane panienki truły się po przeczytaniu „Kreutzerowej sonaty.“ Słyszałem, że jakiś ambitny młodzieniec zastrzelił się po odczytaniu „Hamleta,“ znajdując, że „Szekspir zabrał mu wszystkie tematy“ i nie doczekał się .. „nowego kierunku w poezyi,“ poczętego przez p. Wł. Stankiewicza i nazwanego przezeń „ekwilibryzmem(!) Ale żeby ktoś się zabijał przy czytaniu gazety, słyszę po raz pierwszy. Przerzuciłem umyślnie numer *Gazety Petersburskiej* z dn. 9 sierpnia r. b. (*a propos*, detaliczna sprzedaż tego numeru wzrosła znacznie w dniu 11 sierpnia) i znalazłem w nim same powszednie wypadki: „zagadkowa śmierć,“ „zuchwała kradzież,“ „wypadek na przystani,“ „pożar,“ „zamach samobójczy“ itd. Ach, prawda, jest tam jeszcze wiadomość o usiłowaniu samobójstwa przy pomocy noża fińskiego na ulicy, z braku środków do życia — fakt, który mógł podziałać chyba jako suggestya.

Zaczyna gryźć mię robak zwątpienia... Bo i dlaczegóżby gazety, codzienne dostarczycielki ze wszystkich krańców świata denerwujących wiadomości o „powszednich wypadkach,“ nie miały wstrząsnąć grozą swoją słabego serca i zniechęcić do życia?! „Powszednie wypadki!“ — przerażającą jest właśnie ta „powszednia“ ich tragiczność! Bodaj czy nie ma racyi Balzak, utrzymujący, że nic nie może walczyć o geniusz z pływającą na wierzchu gazet wiadomostką, iż wczoraj o 10-tej wieczorem kobieta, pozbawiona środków do życia, skoczyła z mostu do Sekwany.“ „Wypadki?“ — ale czyż owa monotonia jednorodnych wypadków nie dowodzi, że są one przejawami stale działających, nieubłaganych praw, bądź społecznych, bądź naturalnych?!

Długoletni współpracownik *Birż. Wied.* p. Liniow (pseud. Dalin) powziął oryginalną myśl. Zebrał w jednę całość mnóstwo ciekawszych wypadków, zaszłych w kraju w ciągu ostatnich lat i ocalił je przed zapomnieniem, na które skazane jest niemal wszystko, co się drukuje w gazetach. Ogłosił owe wypadki w książce, noszącej tytuł: „Nie - bajki“ (Nie - skazki). Fakty, podane przez p. Dalina, podzielone są umiejętnie na kilka zasadniczych grup, pod nazwami: „Żony prawne,“ „Dzieci zbyteczne i bezbronne,“ „Z kroniki wiejskiej“ itp. i w tem uszeregowaniu przedstawiają się bynajmniej nie jako przypadkowe bąbelki na ciele społecznem, za które mogli je wziąć w swoim czasie czytelnicy gazet, ale jako uparcie powtarzające się objawy groźnych chorób społecznych, wiecznie odnawiające się rozgałęzienia natury rakowatej. P. Dalin z całą abnegacyą zrzekł się własnej swojej fantazyi na rzecz tej, którą posiada kapryśna rzeczywistość, i trzeba przyznać, że utworami swymi mogłaby walczyć o pierwszeństwo z najsensacyjniejszymi pomysłami romansopisarzy francuzkich. Autor „Nie-bajek,“ a raczej sumienny ich zbieracz, dodaje do każdego wypadku ze swojej strony rozumowe i uczuciowe oświetlenie; które dowodzi, że głęboko wziął on do serca cierpienia dzieci i kobiet i poważnie zastanawia się nad wyleczeniem ran społecznych. Jego prosty i szczery sentymentalizm, oraz zwyczajny dobroduszny rozsądek przynoszą mu zaszczyt w epoce, w której sceptycyzm, zobojętnienie, paradoks i dowcip zapanowały nad wszystkiem. Odkrycie owych dodatnich cech u p. Dalina było dla mnie tem bardziej niespodziewaną przyjemnością, że spotykając go w towarzystwie przed przeczytaniem książki, pod gęstym rozczochranym włosem nie mogłem dojrzeć jego istoty. Obecnie wybaczam jego dziką czuprynę za kulturalny stosunek do różnego rodzaju dziczyzny, której winowajców karzą sądy, mniemając, że już wszystko zrobiły, a p. Dalin słusznie woła: „jakto? oni poszli do ciężkich robót... a my? a my? albo ż my wcale nie winni? albo ż dalej będziemy *po tem* wszystkiem szli żółwim krokiem na drodze do oświaty ludowej?“ Okrzyk ten stosuje się do historyi złożenia ofiary ludzkiej na ołtarzu pogańskiego boga Kurbona w siole Staromultanach gub. wiackiej podczas tyfusu 1892 roku (por. opowiadanie: „Patagonia w Rosyi“). „To myśmy złożyli tę ofiarę“—woła słusznie p. Dalin.

Daleko większą zgrozą przejmuje wszakże inne opowiadanie o *przypadkowem* odkryciu w marcu r. 1894 męczennika-obłąkanego, przykutego *przez 10 lat* na łańcuchu na mocy rozporządzenia „sielskiego schodu“ we wsi Tiulgańskiej gminy Zagwoździńskiej, okręgu tobolskiego. Nieszczęśliwy, siedzący wiecznie z głową opartą na kolanach w dusznej i niskiej budzie, cały obrośnięty włosem, zapomniał mówić... Uwięziono go na łańcuchu bynajmniej nie przez okrucieństwo... tylko uboga włość nie miała środków na opłatę kosztów utrzymania obłąkańca w szpitalu...

W książce p. Dalina przesuwa się szereg schwyconych z natury (pomiędzy innemi w sali sądowej) typów żon, mężonych przez mężów, dzieci przez matki itd. W tej galeryi portretów uderza jedna z żon-chłopek, która po kilkoletniem znoszeniu najcięższych razów, pokryta ranami i sińcami, zdobyła się na wniesienie do sądu prośby, aby „mąż mniej bił.“ Nie brak w tej galeryi i dziewczynek, które są ofiarami kochanków matek, za łaskawem ich pośrednictwem. Mnóstwo dzieci, całe lata obijanych z wściekłością przez matki i macochy, zanim sąsiedzka litość wprowadzi sprawę na tor sądowy, dowodzi nie mniejszej cierpliwości sąsiadów, niż tych bezbronnych drobnych stworzeń, nad których dolą tak mocno biadał Dostojewskij. Zajmujące są typy tych matek, które p. Dalin doradza nazywać raczej „rodzicielkami.“ Porzuciwszy dzieci w kołysce i powędrowawszy w świat z kochankami, po szeregu lat zupełnej niepamięci, gdy dziecię ich wyrośnie już i wychowa się, a otrzyma po zmarłym ojcu spory spadek, domagają się one naraz, w imię „praw macierzyńskich,“ przyznania im opieki nad dzieckiem. Szczęściem, sądy coraz rzadziej uwzględniają prośby takich „matek,“ czyhających na majątek dzieci. Coraz rzadziej także wysłuchiwane są żądania mężów, domagających się sprowadzenia do ich domu przez policyę żon, które uciekły przed tyranią, jakkolwiek odnośne artykuły prawa przemawiają dotąd na korzyść panów małżonków. Niepojętą jest cierpliwość jednej z przedstawionych przez p. Dalina żon, która codzień po parę godzin nieruchomie klęczała w kącie na rozkaz męża, rzucającego kluczykami żelaznymi w głowę, aż nareszcie odciął ją toporem. Dziwną jest lękliwość innej, która skarżąc się przed sędzią pokoju, że mąż nie wydaje jej oddzielnego świadectwa na życie, zapytywała: a co będzie, gdy zabije? — na co sędzia odrzekł jej przekonywająco: będą sądzili! Niezmiernie ciekawym jest wypadek zabójstwa męża przez żonę na ulicy w Moskwie. Powodem nie była ani miłość, ani nienawiść, gdyż małżonkowie rozeszli się za obopólną zgodą w parę dni po ślubie, cicho, bez skandalu. Przyczyną morderstwa był... paszport. Ko-

bieta zapragnęła zapracować samodzielnie na swoje życie, ale wszędzie żądano paszportu. Mąż nie chciał go dać nie przez niechęć, ale tak sobie... Po roku błądzenia z kąta w kąt, wypędzana zewsząd dla braku dokumentu, spotkała na ulicy tego człowieka, który w jednej nieopatrznej chwili zdobył nad nią prawo na całe życie i zażądała paszportu z rewolwerem w ręku. Małżonek się zaśmiał i — za chwilę padł nieżywy...

Jak widzi czytelnik, książka p. Dalina zawiera dużo dokumentów, wiele dowodów wieczystego okrucieństwa ludzi, nawet w obecnej czułej epoce, wiele świadectw tej straszliwej „władzy mroków,“ którą tak wymownie skreślił Tołstoj w swoim dramacie.

Leo Belmont.

WŚRÓD WIELKIEGO MIASTA.

Dużych miast znam wiele, ale dopiero teraz, w Londynie, nauczyłem się oceniać ich wpływy na jednostkę, która świeżo przybyła, nie posiada nikogo bliższego w tym olbrzymim odmęcie istot ludzkich i utonęła w nim bez śladu. Do stolicy Anglii udałem się dla studyów w *British Museum*, po za tą instytucyą, nie posiadając tam nic takiego, gdziebym mógł zadzierzgnąć węzeł łączności z otaczającym światem. Z chwilą opuszczenia murów biblioteki czułem pustkę najzupełniejszą. W pierwszych tygodniach usiłowałem ją rozproszyć w sposób najnaturalniejszy, zwiedzając miasto. Później zaniedbałem nawet tego — dla powodów, o których poniżej. Zacząłem czasami czynić notatki; z nich powstał szkic niniejszy.

* *

Tylko co wróciłem z wycieczki. Pojechałem na górze omnibusu (najodpowiedniejsze miejsce dla zwiedzenia miasta) do Hammersmithu, który naturalnie jest cząstką Londynu; tam przesiadłszy się, inną drogą wróciłem do domu. Zabrało mi to przeszło trzy godziny. Na mapie widzę, że znikoma to zaiste cząstka olbrzymiej przestrzeni, zajętej przez rzędy kamienic. Jestem już od dwóch tygodni w Londynie, przejechałem i przeszedłem miasto w rozmaitych kierunkach, lecz w rezultacie otrzymałem tylko jedno wrażenie: nieskończonego chaosu, ginącego w jednostajności. Można jechać całe godziny, zawsze mieć przed sobą ten sam widok: dom za domem, ulicę za ulicą. Niekiedy cała ulica, naturalnie boczna, jest jakby złożona z jednego długiego budynku, poprzedzielanego na różne części. Przez kwadrans wędrówki nawet się nie zwraca uwagi, tak wszystko podobne do siebie. Usiłowałem ująć szczegóły w całość i w umyśle swoim zobrazować miasto, jako istotę może dziwnych kształtów, rozlazłą, rozćwiertowaną, ale posiadającą jakieś określone kontury. Napróżno! Może gdybym wzniósł się na wysokość kilkuset metrów i spojrzał na Londyn w oprawie gajów, zasłonięty w kurzu, otulony tumanem sadzy, może naówczas w takiem oddaleniu ogarnąłbym całość. Nie! Wątpię, czy nawet wtedy wyszłoby coś wyraźnego. Będzie to zawsze olbrzymi potwór, kończący się wydłużonemi ssawkami—drogami, które do niego prowadzą i z biegiem czasu zamieniają się na ulice. Chyba jeden obraz będzie jasny: brzydoty, która drwi z czystości powietrza, szydzi ze światła słonecznego. Kiedy w myśli staram się przedstawić sobie Londyn, zawsze mam tylko szczegóły i urywki. W jednem miejscu jakby istniało jakieś ognisko: tam nad rzeką, gdzie wznosi się opactwo westminsterskie i budynek parlamentu. Do tego ośrodka staram się dodawać przyległe i dalsze dzielnice, aż gdzieś na pewnem ogniwie tego wydłużenia pasmo pryska. Westminster stoi samotny, nie łączą go żadne linie harmonijne z wielkim obszarem murów.

* *

Od kilku dni przestałem wychodzić nawet na przechadzkę. Rzecz prosta, spacer nie może ciągnąć się całemi godzinami. Tymczasem parę godzin, jako miara przestrzeni, poznawanej pieszo, stanowi istotny drobiazg w obszarze miasta. Dokoła siebie, w odległości pół godziny, poznałem wszystko, na co warto rzucić okiem. Znam nawet wszystkie większe wystawy, rzecz może najciekawszą. Na świeżem powietrzu, tj. po za miastem, ktoś może sto razy przebywać tę samą drogę i zawsze znajdzie przyjemność w przechadzce. Przyroda umie jakoś ubrać i urozmaicić swoją jednostajność śpiewem ptaków, szelestem drzew, porą roku. W mieście zaś ciągną się tylko domy nieprzerwane, nad nimi zawisły chmury pyłu z krwawo patrzącem słońcem, ludzie, wybladli i znużeni, ciągle spieszą. Nawet w samym Londynie są inne widoki, ale na to potrzeba posiadać sporo czasu. A ponieważ niepodobna mi go trwonić, nie pozostaje więc nic innego, tylko, jak w deptaku, wciąż chodzić tym samym trotuarem — do Oxfordstreet i tam mijać ruchliwe oddziały kapłanek Izydy, albo brudną Eustonstreet dochodzić do wrót najbliższego parku i w najlepszym razie powąchać w samotności nieco zieleni.

A jednak tysiące, dziesiątki tysięcy osób żyją w ten sposób. Są zapewne i tacy, którzy nigdy nie oglądali wsi z jej polami, ani nie użyli chłodu w gęstwinie leśnej, którzy wreszcie ani razu nie zanurzyli oka w czystem sklepieniu nieba. Człowiek, przykuty do kawałka wymurowanego zrębu, tak przyzwyczaja się do swojej obroży, że rano idzie do zajęcia i wraca wieczorem tą samą drogą, zapominając, że gdzieś, po za miastem, przyroda roztoczyła swoje powaby. Jedyna rzecz, ażeby dźwignął tę obrożę nie sam jeden, tylko w pewnem towarzystwie — żony, utrzymanki, klubu. Ten równoznacznik pozwala mu nie pamiętać, iż istnieje jeszcze świat cały, odmienny od brzydoty koszar miejskich; że nawet w samem mieście jest wiele różnego i ciekawego. Nie — na to nie ma czasu, później zaś także — woli.

* *

Spostrzegam, że w umyśle moim powstają ośrodki nowego poglądu, przystosowanego do obecnych warunków mojego bytu. Wczoraj czytałem w pewnem czasopiśmie opis stosunków rolnych w Anglii. Myśl wydobyła się ze skorupy murów i popłynęła na zielone pola. Lecz rzecz dziwna, nasuwały mi się bezustanku widoki ścian i strojów, turkotu miejskiego; ludzie tamtejsi byli ulepieni na wzór tych przechodniów, którzy z dnia na dzień kręcą się w deptaku swoim, od domu do kantoru i z powrotem. Słowem, zaczynam spoglądać na świat przez okulary miejskie i o potrzebach tych, którzy mieszkają po za obrębem Londynu, sądzić według dzisiejszych swoich upodobań (jeśli nawyknienie, z konieczności wytworzone, można nazwać odpowiedniem) i o ich umysłowości mieć poglądy, zaczerpnięte ze wzorów jednostajności i prawidłowości miejskiej. Dzisiaj dopiero rozumiem na dobre ów antagonizm, który od tylu dziesiątków lat istnieje pomiędzy prowincyą a Paryżem, antagonizm moralny, intelektualny i zwyczajowy. Są to dwie zgoła odmienne gromady, dwa nawet pod względem kulturalnym różne kraje; ludzie tam posiadają nawskroś inną duszę. Co bowiem o wsi może powiedzieć człowiek, który urodził się między murami chociażby takiego Londynu, w nich spędził swoją młodość i zestarzał się, który wreszcie posiada o nie-mieście nikłe pojęcie z pożółkłych trawników w parkach? Nietylko istnieje coś niezrozumiałego, ale nadto o całem życiu powstaje pogląd zgoła mylny. Tutaj, w wielkiem mieście, wszystko podąża prawidłowo: w pewnych odstępach czasu idą pociągi, wychodzą gazety, są otwarte sklepy. Przyrodę ubezwładniono i istota ludzka zupełnie nie czuje jej kaprysów. Tam, skąd dotychczas przybywało zboże, zdarzył się w obecnym roku nieurodzaj, ale inna miejscowość dostarczyła potrzebnych produktów, i tak bywa zawsze. Człowiek zapomina, że gdzieś przyroda płata ludziom bolesne figle. Miasto obejmuje cząstkę po cząstce z działalności ludzkiej i wreszcie swemu obywatelowi pozostawia tylko jednę: tę, z której on czerpie zarobek; zamyka go w przestrzeni, otoczonej murami, gdzie ani mięśnie nie doznają ćwiczenia, ani pierś nie pochłania zdrowego powietrza, ani myśl nie obejmuje wszystkich widnokręgów życia. Innemi słowy, miasto specyalizuje człowieka i jednocześnie czyni go tem, czem czyni każdego fachowca — idyotą po za wązkiem kołem postępków i myśli.

* *

Znudziły mi się i obmierzły nieskończone rzędy murów, wśród których niema nawet z kim pogawędzić. Korzystam więc z niedzieli i postanawiam dotrzeć do krańca miasta. Siadam do tramwaju, jadę godzinę, drugą — pomiędzy domami. Wreszcie jestem po za „Londynem.“ Tramwaj staje, dalej idzie omnibus. Park, staw, łąki, dziatwa bawi się, zamiast bruku—szosa. Ale domy ciągną się dalej, wązkie dwupiętrowe, obliczone na jednę rodzinę, śród bluszczów i zieleni, jak sięgnąć okiem wszędzie zręby ścian. Na prawo i lewo z głównej drogi biegną węższe, równie śród domów, tylko o połowę przynajmniej niższych. Jadę jeszcze z pół godziny i nie mogę doczekać się wsi. Jestem ciągle w mieście — nie w handlowej dzielnicy, ale tej, w której zamożniejsi odpoczywają po dziennej pracy. Daję za wygranę i siadam do omnibusu, idącego z powrotem.

Pogodziłem się z Londynem i już nie próbowałem uciec z jego murów.

* *

Takiem życiem, jak obecne, można żyć miesiąc, dwa, przypuśćmy nawet trzy. Ale jak mogą wytrzymać ci, którzy na zawsze zostali przykuci do tak olbrzymiego deptaka?

Są plemiona dzikie, które powstają tak samo, jak ongi powstała Sicz na Dnieprze. Losy zapędzają tam rozbitka jednego po drugim, różnej wiary i różnego zwyczaju, i każą im żyć z sobą, chociaż w przeszłości niema ani jednej nici, któraby ich łączyła. Dowcip pierwotny ochrzcił gdzieś taką gromadę istot ludzkich nazwą „liści przez wiatr zmiecionych razem.“ Czemś podobnem są miasta. Przybywają ludzie z różnych krańców świata, pozostawiając za sobą rodzinę, przyjaciół, znajomych i wraz z tem wszystkiem szacunek dla hamulców społecznych, zwanych opinią publiczną. Tutaj, w odmęcie życia miejskiego, w tem zbiorowisku ciągnących się bez końca domów, są pozostawieni samym sobie; nikt ich nie zna i zatem nikt nie trzyma na wodzy ich instynktów, prócz kodeksu karnego, który bywa nader elastyczny. Tam, w zakątku rodzinnym, czuli oni, że za pewne czyny będą palcem wytykani lub karani. Tutaj nikogo nie mają nad sobą.

Życie jest nudne, jałowe, wytwarza ogromną pustkę w duszy, a jednocześnie daje namiętnościom bezkarność obok możliwości użycia — wyrafinowanego, obliczonego na silne podrażnienie nerwów. W takich warunkach erotyzm napełnia całą naturę ludzką i przegryza wszystkie jej fibry. Inni znajdują odmienny narkotyk, zwykle nie więcej godziwy. Nieliczni rzucają się do pewnej idei: religijnej, społe-

cznej. Ale wszędzie zbywa na umiarkowaniu, takiem, jakiem jest właśnie życie na świeżem powietrzu, a jakie właściwiej możeby łoby nazwać nie umiarkowaniem, lecz taktem w użyciu pewnego środka. Miasto pcha do pijaństwa: jeden upija się miłością i dochodzi do najohydniejszego rozpasania, inny zaprząta swój umysł ideą religijną i zostaje w obłędnem dewoctwie, jeszcze inny przejmuje się polityką albo nauką. Natura ludzka, wykolejona z normalnych ścieżyn użycia, mści się, bo wszystkie siły organizmu pcha w pewnym szczególnym kierunku.

K. R. Ż.

PAMIĘTNIK.

Pomnik Kraszewskiego

Zapomnieliśmy... wyznajemy szczerze.... zapomnieliśmy o tem, że przed kilku laty zbieraliśmy składki na pomnik dla Kraszewskiego, który miał być umieszczony w kościele św. Krzyża, że go zamówiono u rzeźbiarza Kryńskiego itd. Obecnie cała ta sprawa przypomniała nam się dzięki uwadze *Gazety polskiej* i wyjaśnieniu A. Pługa, a w krótkości przedstawia się tak. A. Pług, otrzymawszy ze składek 1,000 rs., obstalował pomnik u Kryńskiego, który wymodelował z gliny i odlał z bronzu biust, dwie figury alegoryczne i ornamenty. Wszystko to oddał bronzownikom do wycyzylowania, z których jeden figury alegoryczne zastawił w lombardzie i uciekł z Warszawy, drugi zaś wykończył biust, ale zatrzymał go, bo mu nie zapłacono, gdyż Kryński, zabrawszy całą sumę, wkrótce umarł. Wtedy Pług, łącznie z F. Falońskim, W. Gersonem i L. Jenikem, uzyskawszy nowy zasiłek z redakcyj pism kwestujących, wykupili figury z lombardu a biust u bronzownika i powierzyli je rzeźbiarzowi Prószyńskiemu, który zobowiązał się dokończyć dzieła za cenę kosztu. Chory i przeciążony korzystniejszemi robotami, nie śpieszył się do tej, a zanim jej dotknął — umarł. W tej chwili więc całe przedsięwzięcie przedstawia się bardzo smutnie: części jego leżą u spadkobierców Prószyńskiego, a na pokrycie kosztów całości pieniędzy niema. Pług pociesza się nadzieją uzyskania pomocy od ludzi „dobrej woli.“ Bodajby się nie zawiódł. Chociaż z drugiej strony mamy tylu nakładców, którzy na utworach Kraszewskiego porobili majątki, że sami oni bardzo łatwo mogliby się zdobyć na „dobrą wolę“ dopłacenia reszty kosztów pomnika.

Wystawa ogrodnicza.

W chwili wyjścia obecnego numeru *Prawdy* będzie już otwarta w Warszawie wystawa ogrodnicza. Skutkiem tak silnie rozbudzonego u nas w ostatnich latach ogrodnictwa, nietylko szybko rozwija się ta gałąź pracy, ale patronująca jej instytucya otrzymuje wspaniałe zapisy; jest więc wypadkiem niezmiernie ważnym i ciekawym, co nam okaże wystawa. Że zobaczymy rzeczy piękne, świadczące o doskonałej sztuce i umiejętności — nie wątpimy; ale nas mniej zajmować będzie — że tak powiemy — zbytek ogrodniczy, więcej zaś wyniki starań, odpowiadających potrzebom ogółu i wskazówki, gdzie kraj szukać i znaleźć może istotne źródła bogactwa materyalnego. Mamy przytem nadzieję, że komitet przeprowadził w wystawie plan gruntownie obmyślany, że ona nie będzie taką śmieszną improwizacyą, jak słynny pokaz „doboru normalnego owoców,“ urządzony roku zeszłego. My pójdziemy do Bagateli z pytaniem: co u nas w dziedzinie ogrodnictwa produkuje się oraz co z powodzeniem i korzyścią produkować się może. Odpowiedź na to pytanie damy w następnych numerach *Prawdy*.

Wyprawa naukowa.

Instytut medycyny doświadczalnej w porozumieniu z ministeryum wojny i spraw wewnętrznych wysłał profesora Marcelego Nenckiego na czele ekspedycyi na Kaukaz dla zbadania etyologii księgosuszu. W wyprawie wzięło udział czterech lekarzy, tyluż weterynarzy i dwu chemików. Fakt ten jest wielce doniosły dla ziemian w całem państwie wobec tego, że dotąd wszelkie choroby zabierają im znaczny procent inwentarza, że zatem brak rzetelnych badań w zakresie epidemij zwierzęcych i — silnej opieki weterynaryjnej — to jedno z głównych źródeł niemocy gospodarki wiejskiej. Cała działalność fachowców w tym zakresie więcej jest formalna, niż lekarska i naukowa. Zbadanie więc księgosuszu na Kaukazie, wykrycie przyczyn jego rozwoju i środków stłumienia, będzie niezmiernie ważnym krokiem i może początkiem właściwej działalności w dalszym ciągu. Obecne, dość nieliczne pracownie mikroskopowe, mają charakter doryweczy, gdy powinny należeć do stałej organizacyi, być nietylko przy wszystkich rzeźniach, ale we wszystkich główniejszych ogniskach hodowli nierogacizny, bydła, koni i drobiu. Tymczasem czekajmy, jakie wyniki i bodźce przyniesie wyprawa naukowa na Wschód.

Usterki komunikacyjne.

Ktoś się uskarża, że kupiwszy bilet z Kijowa do Warszawy przez Kowel, musiał na tej stacyi niepotrzebnie przesiedzieć godzin kilka i przybyć do Warszawy znacznie później niż ci, którzy mieli bilety przez Brześć. Nie chciano uwzględnić jego prośby, ażeby mu wolno było również przez Brześć jechać, gdyż wedle przepisów marszruta powinna być ściśle wykonana, chociażby inna kosztowała tyleż co tamta. *Nowosti* również uskarżają się na niedogodność, wynikającą z takich powodów i dla uplastycznienia stanu rzeczy, podają przykład: „Przypuśćmy, że p. A. jedzie z Warszawy do Sewastopola. Na mapie kolejowej, według przewodnika wybiera najkrótszą przestrzeń (zresztą wydadzą mu bilet w tym kierunku): Droga przez Kowel, Chwastów, Znamienkę, Dolinskaja, Sinielnikowo wynosi 1858 wiorst. A. wyjeżdża z Warszawy w niedzielę o godz. 11 m. 43 wieczorem (czas petersb.) i przybywa do Sewastopola we czwartek o godz. 10 z rana. Przez czas jazdy wycierpiał dużo: w Chwastowie przesiedział 4 godziny, o godz. 3-ej przesiadł się w Dolińskiej na kolej Ekateryninską a w Sinielnikowie czekał 7 godzin na pociąg. Ja ze swej strony wybieram drogę, wynoszącą nie 1858, lecz 2663 wiorsty, a mianwicie przez Brześć i Moskwę; robię duży łuk o 805 wiorst dłuższy, ponieważ nie mam powodu śpieszyć. Wyjeżdżam nawet z Warszawy nie w niedzielę, lecz w poniedziałek o godz. 9-ej m. 30 rano (cz. p.) i — przyjeżdżam do Sewastopola jednocześnie z p. A. we czwartek o godz. 10-ej zrana. A. był w drodze 82½ godziny, ja zaś przejechawszy dodatkowo 805 wiorst, byłem w drodze tylko 72½ godziny; on spędził cztery noce w wagonie, ja trzy; on jechał sześciu różnemi kolejami i musiał tyleż razy przesiadać, ja od Brześcia do Moskwy siedziałem wciąż w tym samym wagonie i mogłem nawet kupić sobie miejsce w sypialnym. Następnie z Moskwy znów jechałem w jednym wagonie aż do Sewastopola, a czekałem 4 godziny na pierwszorzędnej stacyi — w Moskwie. Wynika stąd oryginalne *curiosum*, że odległość 2663 wiorsty jest w danym razie krótszą, aniżeli przestrzeń 1858 wiorst.„

Przykład ten jest wybornie wzięty i maluje istotny stan rzeczy. Niedawno przejechawszy przeszło 5,000 wiorst dziewięciu kolejami, sam byłem świadkiem zawodów, wyniklych z konieczności trzymania się marszruty wskazanej na bilecie, lub z niedoświadczenia pasażerów. Ponieważ w sferach ministeryalnych wkrótce wejdą na porządek dzienny sprawy większych udogodnień dla podróżnych, można więc przypuszczać, że wszelkie usterki, dotąd przez praktykę wskazane, będą usunięte. Najważniejszą właśnie jest brak biletów na przestrzeń nie tylko najkrótszą, lecz i najdogodniejszą. Jak wiadomo, z wprowadzeniem taryfy strefowej zniesiono bilety okolne, obecnie z powodu wystawy powszechnej w Niższym Nowogrodzie, będą znowu czasowo wprowadzone i może posłużą za punkt wyjścia dla udogodnień trwałych. Mamy powód tak mniemać z tem większą pewnością, że ster komunikacyjny oprze swe zmiany na całorocznem doświadczeniu. Przez ten bowiem czas pilnie śledzono potrzeby ogółu i te kierunki, w jakich największe ożywienie panuje. *—p.—*

Jubileusz pedagoga.

Uczniowie i koledzy Jana Pankiewicza postanowili uczcić jego półwiekową pracę. W tym celu na 28 września zwołują zjazd koleżeński z zamiarem utworzenia stypendyum imienia jubilata. Pięćdziesiąt lat pracy na polu pedagogicznem, to jest fakt zasługujący nie tylko na uznanie lecz i na podziw. Nauczyciele, nawet młodzi, po kilkunastu latach pracy upadają ze znużenia, wyczerpani nerwowo i zniechęceni. Dziedzina pedagogiczna wymaga pracowników nietylko obdarzonych osobnemi zdolnościami, wolą, powściągliwością, sprawiedliwością, nie tylko nadzwyczajnej znajomości dusz i charakterów młodocianych, ale i zdrowia niepospolitego. Młodzież ucząca się przedstawia najniesforniejszy żywioł, złożony z różnorodnych pierwiastków. To też stosowanie do niej przyjętej mody lub strychulca, częstokroć dotkliwie zawodzi. Umiejętność pedagogiczną Biörnstierne-Biörson nazwał talentem etycznym. Nie wiem, czy takie talenty, bezwzględnie doskonałe, istnieją nawet pod słońcem. To tylko pewna, że każda z pozoru najracyonalniejsza metoda, ma wielkie braki, że najdoświadczeńszy kierownik dziecięcych i młodzieńczych umysłów spotyka nieraz zdumiewające niespodzianki, idzie po omacku i nigdy nie jest pewny, czy stąpa całkiem właściwą drogą. Doświadczenie swoje musi mozolnie zdobywać przez długie lata i czasem patrzeć ze smutkiem, jak wysnute *najlepsze* podstawy wyrobionej metody rysują się i rozpadają w gruzy. To też można sobie wyobrazić, jak ciężkie zadanie miał Pankiewicz, ile sił musiał zetrzeć przez pół wieku i jak ich wielki zapas posiadał. Wychował on parę tysięcy ludzi w kilku pokoleniach. Wielu z nich być może, zmarnowało się bądź przez tę zagadkowość, której pedagogia rozwiązać nie mogła, bądź przez warunki i okoliczności nieprzewidziane, ścierające hart charakteru i wszelkie zdolności w pogoni za chlebem. Ale znaczna gromadka tych wychowańców wzniosła się wyżej i pracuje dziś z pożytkiem dla ogółu. Więc i on coś winien sędziwemu pedagogowi. Organizatorowie uroczystości jubileuszowej dla ułatwienia udziału wychowańcom, wskazują im adres: d-ra Kurtza (Sienna 22), lub p. Troetzera (Chłodna 29). —z.—

Podatek od mieszkań.

Pisma petersburskie, przeglądając stan nowej rubryki dochodów państwa, przychodzą do przekonania, że zawiodła ona rachuby zarządu fiskalnego. W liczbie pozycyj dochodowych podatek ten zajmuje jedno z miejsc najskromniejszych. Tymczasem ściąganie jego pochłania urzędnikom dużo czasu i zarazem jest kosztowne. Przyczem sam sposób załatwiania owej

formalności—jak twierdzą *Peterb. Wied.*—wywołuje wiele skarg. „Utyskują całe miasta na nieprawidłowe zaliczenie ich do tej lub innej klasy, skarżą się i oddzielni lokatorowie na błędne stosowanie przepisów.“ Pod wpływem tego wszystkiego ministeryum postanowiło przejrzeć przepisy. Krok ten przedewszystkiem ma na celu zwiększenie dochodów skarbu za pomocą pociągnięcia do opłaty podatku znacznej części ludności, która dotychczas korzystała z ulg pod pozorem niezamożności. Postanowiono więc do obecnego podziału miast na pięć klas dołączyć szóstą, tj. pociągnąć do podatku lokatorów, płacących czynsz dzierżawny poniżej ustanowionego minimum. Ten sam cel ma być osiągnięty za pomocą zaliczenia oddzielnych części miast do różnych klas. Tym sposobem liczba osób, pociągniętych do podatku, będzie znacznie zwiększona. Druga część zadania—uregulowanie opłaty stosownie do zamożności opodatkowanego, należy do trudniejszych. Z tego powodu *Peterb. Wied.* piszą: „Zdaje nam się, że zupełnie błędnem jest przekonanie, że za pomocą jakichkolwiek zmian w podziale miast i mieszkań zadanie to może być rozwiązane w sposób zadawalający. Pobór od lokatorów w żadnym razie nie stanie się rodzajem podatku dochodowego, ponieważ niema ścisłej zależności pomiędzy ceną mieszkania a zamożnością obywatela. Do dochodowego możnaby z równą słusznością zaliczyć inne rodzaje podatków pośrednich, przyczem wysokość obciążenia byłaby zawsze w prostym stosunku do używania produktów opodatkowanych. Pobór pieniędzy od mieszkań możnaby zatem nazwać raczej „rozchodem,“ niż „dochodem.““

W obawie współzawodnictwa.

Z powodu projektu komunikacyi elektrycznej w Warszawie, akcyonaryusze belgijscy polecili zarządowi tramwajów opracować kosztorys zamiany siły pociągowej koni na elektryczność. Jest to w każdym razie bardzo pożądany objaw, który każe przypuszczać, że przedsiębiorcy, troskliwi dotychczas wyłącznie o kieszeń własną, pomyślą trochę i o wygodzie miasta. Wątpić nie można, że obawa współzawodnictwa będzie silnym bodźcem i że tak zasobne Towarzystwo znajdzie środki na szybkie przekształcenie komunikacyi tramwajowej. Prawda, że przybędzie nam nowy powód narzekania na brak rzutkości i odwagi kapitalistów krajowych. Ale, bądź co bądź, miasto nasze wygrywa na tem, a im będą silniejsze zabiegi współzawodników, tem większe dla Warszawy szanse dogodnej komunikacyi pod każdym względem.

W DALI.

Żytomierz. Pożary zwiększają nędzę, ta zaś sprzyja rozwojowi wszelkich chorób. Dubno niedawno nawiedził pożar; całe ubóstwo skupiło się w domach pozostałych, gdzie się wnęciła cholera i znalazła grunt przyjazny. Przy tem rodziny chorych, bojąc się szpitali gorzej niż ognia, starannie ukrywają wypadki, co jeszcze bardziej zwiększa siłę epidemii. Wielu ucieka z miasta i roznosi chorobę po okolicy. Obywatele zamożniejsi zebrali dla ubogich paręset rubli, żydzi zaś stworzyli własny komitet zdrowotny. Środki te wszakże są zbyt słabe, ażeby mogły klęsce zapobiedz; to też w mieście senność i obojętność, nikt się nie spieszy z odbudowywaniem domów, trudno bowiem o robotników, którzy przed cholerą uciekli.

Wilno. Korespondent *Gazety Polskiej* zawiadamia, że po długich staraniach księżna Hohenlohe uzyskała pozwolenie zatrzymania dóbr Werki w pobliżu Wilna. Posiadłość ta obejmuje około 5 tysięcy dziesięcin, ale dochód nie wystarcza na utrzymanie parku i pałacu. — Źródła urzędowe, zebrane przez departament heroldyi za r. 1893, zawierają dużo ciekawych szczegółów, dotyczących szlachty herbowej w guberniach zachodnich i południowo-zachodnich. W dziewięciu pierwszych jest 14½ milionów mieszkańców, w tej liczbie 400 tysięcy starej szlachty. Najmniej w gub. grodzieńskiej, gdyż zaledwie 1,1% ogólnej ludności; najwięcej w kowieńskiej, 80 tysięcy szlachty, czyli 5,8% ogółu. Gub. mińska posiada 40,000 szlachty, czyli 3,4%. Gub. podolska na 2½ miliona ogólnej liczby mieszkańców, 59,500 szlachty (2,4%); gub. kijowska 48,430 (1,7%); witebska 23,000 (1,5%), mohylowska 22,000 (1,4%). Oprócz szlachty, w guberniach wymienionych dużo jest jeszcze mieszkańców pochodzenia szlacheckiego w szeregach drobnych dzierżawców i oficyalistów. — Za parę dni będzie otwarta siódma wystawa przemysłowo-rolnicza. W bieżącym miesiącu kończy się dziesięć lat od chwili otwarcia pierwszej takiej wystawy prowincyonalnej (r. 1885). Było wtedy zaledwie 51 uczestników i 202 okazy. W roku zaś 1893 liczba wystawców urosła do 396, a okazów — 789. Cyfry te świadczą wymownie o zainteresowaniu się ziemian tego rodzaju popisem peryodycznym. W roku bieżącym wystawa zapowiada się pomyślniej niż kiedykolwiek. — Kanclerz niemiecki książę Hohenlohe, bawił kilka dni w Werkach dla załatwienia likwidacyi majątków żony. Gościł tam jednocześnie ks. Radoliński.

Niższy Nowogród. Komisya, obradująca nad uprzystępnieniem mieszkańcom państwa i zagranicy wycieczek na przyszłoroczną wystawę, uchwaliła dwojaki rodzaj biletów zniżonych: a) powrotne wewnętrzne (*Retour-billets*) na przejazd z większych miast, leżących wewnątrz kraju, do Niż. Nowogrodu i z powrotem tą samą drogą. Termin pozwala na kilkodniowy pobyt w mieście. b) T. zw. okolne (*Rundreise-billets*), przeważnie dla gości zagranicznych, którzy przy tej sposobności zechcą zwiedzić główniejsze miasta w Rosyi. Bilety te, z terminem znacznie dłuższym, służyć mają na przejazd ze wszystkich stacyj pogranicznych i portowych i, kierując się przez większe miasta, inną następnie drogą dochodzą znów do granicy państwa lub portu, przytem podróżny nie będzie zmuszony do powrotu na stacyę, z której rozpoczął podróż, lecz dowolnie może skierować do innego punktu pogranicznego lub portu. Oto parę takich marszrut: Aleksandrów-Warszawa-Petersburg-Moskwa-Niż.-Now.-Moskwa-Kursk-Kijów-Odesa (kończąca marszrutę. 2) Wierzbołów-Petersburg-Moskwa-Niż.-Now.-Moskwa-Brześć-Warszawa-Sosnowice. 3) Ryga-Petersburg-Moskwa-Niż.-Now.-Moskwa-Kursk-Kijów-Kowel-Warszawa-Aleksandrów. Takich kombinacyj ułożono 73.

Co do tego, jaka mianowicie zniżka taryfy ma być zastosowana dla powyższych biletów, komisya nie przyszła jeszcze do ostatecznego wniosku; przeważa w niej jednak zdanie, żeby całą przestrzeń przejazdu obliczać według skali istniejącej taryfy różniczkowej, co daje ulgę znaczną, np. w przytoczonej marszrucie Nr. 1, za ogólną przestrzeń 4,276 wiorst, opłata od dorosłej osoby wyniesie: w kl. I—55 rs., w kl. II—33 rs., a w kl. III—tylko 22 ruble.

SPRAWY EKONOMICZNE

STAN PRODUKCYI ZWIERZĘCEJ.

III.

Obok działów, które mają być dźwignią gospodarstwa wiejskiego, pozostaje nam jeszcze przejrzeć dokładnie wytwórczo-handlowe warunki masła i serów. Wskazaliśmy już główne punkty wywozu pierwszego z tych produktów. Co do rynków zbytu, na baczną uwagę zasługuje Turcya, tem bardziej, że można ją zaliczyć mniej więcej do stałych odbiorców i że pochłania ona około 42% ogólnej produkcyi masła rosyjskiego, nietylko z gubernij wschodnich i południ.-wschodnich, ale od r. 1890 nawet z pobrzeży baltyckich. Najwięcej idzie masła przetopionego, gdyż jest ono i tańsze i łatwiej daje się przechowywać w klimacie gorącym. Rozglądając się w warunkach i potrzebach rynków europejskich, widzimy, że głównym, regulującym ceny masła północnej części Europy, jest Kopenhaga. Tam można znaleźć wszelkie gatunki, od najniższych do najlepszych. Drugie miejsce zajmuje Hamburg, chociaż w ostatnich czasach odgrywa już mniej ważną rolę.

Dla wytwórców, którzy się nie zasklepiają w obrębie własnego powiatu lub gubernii, lecz zwracają baczną uwagę na położenie rynków międzynarodowych, wielkie znaczenie powinny mieć ceny produktu z okresu kilkunastoletniego. Dokładne szczegóły w tej mierze zawierają sprawozdania *Grosserer Sociétets Comitet'u*. Oto ceny masła na rynku w Kopenhadze za lat 13: r. 1881 pud kosztował przeciętnie rs. 13,65, 1882 — 13,48, 1883 — 12,74, 1884 — 12,40, 1885—11,43, 1886—10,81, 1887 — 10,75, 1888—10,41, 1889—10,92, 1890 — 10,41, 1891—10,81, 1892—11,15, 1893—10,58. Cyfry te mówią bardzo wiele: Od r. 1888 widzimy bezustanny spadek cen. Taki stan rzeczy, niepożądany dla tej gałęzi przemysłu i handlu, wynikł z podrabiania masła za pomocą margaryny. Dopiero w ostatnich paru latach widzimy znowu, chociaż niewielką, zwyżkę cen, co należy przypisać skrępowaniu odpowiednimi przepisami produkcyi i handlu margaryny. Prócz tego czynnikiem, wpływającym na zniżkę, jest masło australijskie. Względnie do pór roku wogóle, produkt ten najtańszy jest w maju i czerwcu, gdy przeciwnie w zimie i na wiosnę ceny są najwyższe, skutkiem małej ilości świeżego produktu. W ostatnich wszakże latach różnica ta stopniowo się zaciera skutkiem lepszego urządzenia gospodarstw mlecznych, dających produkt bardziej równomiernie w każdej porze roku, a poniekąd i dlatego, że w Australii okres świeżej paszy wypada w tym czasie, gdy u nas ziemię mróz ścina i śnieg pokrywa.

Z zestawienia cen masła z różnych krajów na rynkach międzynarodowych widzimy, że tylko najlichszy gatunek australijskiego jest ceniony taniej, niż wogóle rosyjskie. Taki niepożądany stan rzeczy zwraca uwagę wytwórców poważnych i sfer ministeryalnych. Dziś już nie ulega wątpliwości, że wzmocnienie wywozu za granicę produktów mlecznych, jak również zwiększenie ich spożycia wewnątrz państwa, dałoby się osiągnąć przedewszystkiem za pomocą usunięcia zasadniczych braków w produkcyi, transporcie i handlu. Praktyka dowodzi, iż współdziałanie rządu w tej mierze dało świetne rezultaty, szczególnie w Danii, Szwecyi i Australii. Otóż w sprawie tej przed paru miesiącami odbyła się osobna narada przy departamencie handlu i przemysłu i w rezultacie uznano za rzecz niezbędną pomoc w udoskonaleniu techniki, produkcyi i przewozu. W tym celu należy stworzyć cały program i działać systematycznie, świadomie, zbadać potrzeby rynków obcych, warunki wytwórczości każdej prowincyi zosobna; wniknąć w najdrobniejsze wymagania i gusty zagranicy co do gatunków, smaku, aromatu itd. Tutaj wszakże żadne teoretyczne wskazówki nie dadzą pożądanych rezultatów. Należy więc albo fachowców krajowych posyłać na naukę praktyczną za granicę, do tych krajów, gdzie są największe i najkorzystniejsze szanse zbytu, albo też sprowadzać specyalistów obcych, dla zaszczepienia racyonalnych systemów produkcyi. Oczywiście ten drugi warunek, jakkolwiek w wielu razach przyjęty, mniej wszakże jest pożądany, ze względu, że nie wpływa na popyt fachowców miejscowych i rodzi uprzedzenia do nich. Tymczasem specyaliści zagraniczni przyjeżdżają hy-

najmniej nie z zamiarem uczenia, lecz wyrobienia stałego zarobku dla siebie i swoich współziomków. Starają się więc możliwie najskrupulatniej zachować sekret fabrykacyi.

Produkcya serów w obrębie państwa rozwinęła się w ostatnich czasach dość znacznie i dziś już prawie wszystkie gatunki wybitniejsze, znane na rynkach europejskich, są w kraju wyrabiane. Zapotrzebowanie zaś wzrasta nieustannie, o czem świadczy w chwili obecnej szybkie wyczerpanie zapasów przeszłorocznych, a stąd niezwykłe podrożenie tego produktu w całem państwie. Co do zbytu zagranicznego, i tutaj, jak w wielu innych razach, trzeba głównie liczyć na Anglię. Mieszkańcy tego kraju spożywają przeciętnie po 6 funtów na osobę, czyli ogółem na 70 milionów rubli. Serów własnej produkcyi mają oni zaledwie szóstą część ogólnego spożycia, tj. około 900,000 pudów, blizko zaś 4,500.000 pudów na sumę 60 mil. rs. sprowadzają z innych państw. Przytem śród mas ludności spożycie mleka w postaci surowej tak dalece wzrasta, że jest go coraz mniej na wytwarzanie serów i masła. W Rosyi już poniekąd warunki istnieją dla pomyślnego rozwoju wywozu do Anglii, gdyż tam ustaliła się dobra sława pewnych gatunków sera rosyjskiego; szczególnie „chester" jest ceniony na równi z kanadyjskim, tj. o 10—15% wyżej, niż sery ze Stanów Zjednoczonych. Okrągły holenderski słynie u anglików jako lepszy od oryginalnego. Ponieważ ten gatunek daje się bardzo długo przechowywać, więc można go w obrębie Rosyi spotkać w różnych zakątkach; wędruje on nawet do Władywostoku. Tylko produkcya serów szwajcarskich pozostawia jeszcze wiele do życzenia pod względem technicznym. Obecnie rezultatem narad przy departamencie przemysłu i handlu jest sprowadzenie z Danii ośmiu specyalistów i jednej specyalistki w charakterze instruktorów, którzy będą posyłani z miejsca na miejsce dla zaznajamiania ludności z racyonalną produkcyą mleczną. Co do zbytu przetworów tej kategoryi, przedewszystkiem pilną sprawą jest urządzenie dogodnego i szybkiego przewozu. I ta właśnie kwestya była roztrząsana na naradach przy departamencie przemysłu i handlu. Otóż uznano przedewszystkiem za rzecz niezbędną zwiększenie szybkości i ustanowienie terminowości transportów na kolejach żelaznych. Zgodnie z tem, u steru spraw komunikacyjnych przedsięwzięto już odpowiednio przygotowania dla zadośćuczynienia owym potrzebom, szczególnie w transporcie zwierząt domowych i produktów zwierzęcych. W komunikacyi morskiej również zalecono do niezbędnych szybką i terminową dostawę, głównie dla masła i jaj, przytem urządzenie specyalnych statków z lodowniami. Droga parowców ma być ustalona pomiędzy Libawą i Hull, ze ścisłem zachowaniem dni i godzin przybycia i ze średnią szybkością 14—15 węzłów na godzinę. Zanim będzie osobna komunikacya tego rodzaju pod flagą rosyjską, postanowiono wejść w układy z prywatnemi przedsiębiorstwami żeglugi. Taryfy istniejące uznano wogóle za zupełnie odpowiednie, z małymi wyjątkami. Tak np. większość wyraziła żądanie zniżki opłaty za przewóz zwierzyny tudzież bydła drobnego. Natomiast nie rozstrzygnięto niektórych kwestyj zdrowotno-weterynaryjnych, również stanowiących ważny czynnik w rozwoju danej gałęzi przemysłu i handlu. Z tego wszakże zajęcia się sfer ministeryalnych sprawami tak doniosłemi widzimy nowy zwrot ku uregulowaniu podstawowej gałęzi gospodarki wiejskiej. Po za tem zabiegi ministeryum rolnictwa również zasługują na uwagę. W organizacyi szkół praktycznych położyło ono nacisk na niższe i średnie, gdzie dział mleczarski wchodzi jako osobna gałąź nauki albo też sama całkowicie wypełnia program szkoły.

Staraliśmy się w niniejszym artykule wykazać warunki handlu międzynarodowego w zakresie produkcyi zwierzęcej, z tą myślą, że może nasi wytwórcy i hodowcy będą się liczyć na przyszłość z warunkami zewnętrznymi; że zakładając obory, mleczarnie, hodowlę bydła rzeźnego, maślarnie, serownie, wybiegną po za stosunki powiatowe lub gubernialne, rozejrzą się po świecie i tworząc jedno ogniwo w łańcuchu rynków wszechświatowych, potrafią działać świadomie, stosować się do potrzeb i wymagań ogólnych tudzież zmian i podmuchów w dziedzinie wytwórczo-wymiennej. Dziś nasz ziemianin czasem robi masło, rzadziej — liche sery, ale liczy na Szlomę lub Moška. Oni przedstawiają mu obraz warunków, tworzą ceny i „konjunktury." A jednak kraj w wielu miejscowościach przedstawia warunki, które sprzyjałyby rozwojowi gospodarki mlecznej. Na tej drodze można byłoby w znacznej mierze wzmocnić rolnictwo, uniknąć ostatecznej ruiny. Ale wszelka dorywcza działalność w tym zakresie nie doprowadzi do żadnych rezultatów. Tylko na wzór duńczyków, holendrów i francuzów można stworzyć nową gałąź przedsiębiorstwa, jako dźwignię ziemiaństwa. Rolnicy nasi w ostatnich czasach ujawnili dążność do zawiązywania spółek i bardziej niż kiedykolwiek jasno ocenili doniosłość takiej organizacyi. Dziś więc, gdy władze ministeryalne popierają takie zabiegi, gdy Bank państwa chętnie udziela kredytu, należałoby porysowany i poszczerbiony gmach rolnictwa naprawić i wzmocnić nowym odłamem przedsiębiorstwa, wyrobić stały zbyt w kraju i wstęp na rynki zagraniczne. Oczywiście tylko przy bardzo zgodnej i szerokiej organizacyi spółkowej, przy całem uświadomieniu potrzeb zagranicy, nawiązaniu z nią trwałych stosunków i zjednaniu zaufania, można liczyć na powodzenie i skuteczną walkę z silnymi współzawodnikami. Do tego zaś nie dochodzi się ani łatwo, ani szybko, ani nawet bez pewnych strat na razie, które zazwyczaj na samym wstępie tłumią zapał i łamią energię naszych ziemian. To też tylko jednostki obrotne, obdarzone odpowiednim temperamentem i wolą, mogą tu wspólnemi siłami dojść do celu pożądanego.

Dreg.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Właściciel młyna parowego i piekarni przy ul. Wolskiej w Warszawie, p. Karol Michler, ubezpieczył swych pracowników w Tow. „Przezorność" na 30,000 rs. i zobowiązał się premie roczne pokrywać z funduszów własnych.

— *Now. Wrem.* donosi, iż w wielu miejscowościach Finlandyi utworzono towarzystwa strażackie, złożone wyłącznie z kobiet.

Szkoły. Na kursy wyższe Akademii medycznej w Petersburgu postanowiono w r. b. przyjąć tylko jednego lub dwu studentów z uniwersytetu warszawskiego, pod warunkiem, iż kandydat oprócz celujących kwalifikacyj naukowych, przedstawi list rekomendacyjny, wydany przez władzę uniwersytecką.

— Do Instytutu Inżenierów komunikacyi na 140 miejsc wolnych zgłosiło się przeszło 700 kandydatów.

— Gimnazyum polskie w Cieszynie otwarte będzie 19 września.

— Ministeryum oświaty zajmuje się rewizyą ustawy szkoły politechnicznej w Rydze. Osoby, kształcące się w tym zakładzie naukowym, założonym w r. 1861, nie korzystały z praw, służących studentom innych szkół specyalnych. Obecnie prawa te będą przyznane i politechnice ryskiej, po wprowadzeniu do jej ustawy odpowiednich zmian i uzupełnień. Szkoła posiada sześć oddziałów: budowniczy, inżenierski, mechaniczny, chemiczny, rolniczy i handlowy.

— Ministeryum rolnictwa i dóbr państwa czyni starania o otwarcie specyalnych katedr budowy machin rolniczych w instytutach technologicznych w Petersburgu i Charkowie.

Konkurs. Petersburskie Towarzystwo ochrony zdrowia publicznego ogłosiło konkurs na opracowanie dzieła o ospie i jej szczepieniu. Nadają się do tego prace w kwestyach ogólnych o ospie i jej szczepieniu, podręczniki o szczepieniu ochronnem, prace historyczne, lekarsko-geograficzne i medyczno-statystyczne, traktujące o tej chorobie. Dalej: badania kliniczne, patologiczno-anatomiczne, bakteryologiczne, chemiczne itd., prace popularne o korzyściach szczepienia ospy. Z działu techniki szczepienia: artykuły i rozprawy o udoskonaleniach w zakresie techniki, przysposabiania, przechowywania, przesyłki itd. limfy ochronnej, nowe pomysły w zakresie udoskonalenia instrumentów i wszelkich przyrządów, używanych przy szczepieniu ospy ludziom i zwierzętom; projekt wzorowego urządzenia zakładu szczepień. Prace konkursowe mogą być pisane w językach: rosyjskim, francuskim, niemieckim i angielskim. Termin kończy się 14 marca (n. st.) 1896. Prace przesyłać należy pod adresem: Rada rosyjskiego Towarzystwa ochrony zdrowia publicznego, Petersburg, Zaułek Dmitrowski 15. Przeznaczono cztery nagrody: pierwsza medal złoty Towarzystwa i rs. 1,000, druga — medal złoty, trzecia — mały medal złoty, czwarta — medal srebrny. Konkurs ten ogłoszono z powodu setnej rocznicy zastosowania szczepień ochronnych.

Koleje komunikacye. Inżenierya miejska w Warszawie ogłasza konkurencyę na przeprowadzenie linii próbnej tramwajów elektrycznych na wiosnę r. p. na ryzyko przedsiębiorcy. Kierunek linii ma być wytknięty od placu Trzech Krzyży przez ul. Żórawią, część Kruczej, Hożą, Leopoldynę i Polną obok nowego parku przy ul. Koszykowej aż do miejsca przyszłej wystawy hygienicznej.

— W Bydgoszczy utworzyło się Towarzystwo żeglugi parowej na Noteci, Warcie i Odrze. Celem jego jest ułatwienie spławu drzewa z Rosyi na zachód Niemiec, głównie do okolic fabrycznych westfalskich i nadreńskich.

— Wkrótce rozpoczęta będzie budowa kolei rządowej od Łukowa do Lublina na przestrzeni 85 wiorst. Przeznaczono na ten cel 10 mil. rs.

— Według danych urzędowych, w pierwszem półroczu r. b. wybudowano 8,464 wiorst nowych kolei, z których 5,074 w. stworzył skarb, resztę zaś towarzystwa prywatne. W tymże czasie wydano pozwoleń na budowę 2,934 w. nowych linij. Tym sposobem w niedalekiej przyszłości ogólna długość kolei rosyjskich powiększy się o 11,348 wiorst (33%).

Wystawy i zjazdy. Departament rolniczy ogłasza, iż d. 16 września w Brukselli odbędzie się międzynarodowy kongres rolniczy, na którym Rosya będzie posiadała delegatów urzędowych.

— W Kurhanie będzie otwarta — pierwsza na Syberyi — wystawa rolnictwa i drobnego przemysłu wiejskiego gub. tobolskiej.

Wypadki. Z Turynu donoszą o strasznej katastrofie w przytułku dla pielgrzymów w Roberdone. W sali, przeznaczonej dla kobiet, zapaliła się słoma, służąca za posłanie. Okna były zakratowane a drzwi na klucz zamknięte, więc prawie wszystkie — przeszło sto osób, — znalazły śmierć na miejscu.

— Na morzu Niemieckiem zatonęła łódź torpedowa. Zginęło 13 ludzi.

— Przed kilku dniami pożar w Nowym Dworze poczynił wielkie spustoszenia.

Zmarli. Józef Polkowski, artysta-malarz, w Warszawie. Ur. r. 1820. Był przez długi czas nauczycielem rysunku w szkołach rządowych. Ołówkiem swym zasilał: *Opiekuna domowego*, *Przyjaciela dzieci*, *Kłosy*, *Tygodnik ilustrowany*.

— Józef Bogdan Oczapowski, b. profesor b. Szkoły Głównej, w Warszawie. Wykładał nauki prawne. Oprócz mnóstwa drobnych rozpraw, napisał kilka większych dzieł z dziedziny skarbowości i prawa państwowego: „Celniejsi pisarze umiejętności skarbowej" (1868), „Rzecz o dochodach państwa" (1870), „Opodatkowanie cudzoziemców" (1871), „Ogólne i szczególne źródła fizyologii politycznej, czyli nauki o naturze państw" (1861), „Rys encyklopedyi nauk politycznych" (1871 i nast.), „Zakres i osnowa prawa politycznego czyli państwowego" (1873), „Układ i metoda prawa politycznego i polityki ustroju" (1873), „Władza i układ państwa" (1875).

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu L. B. w P. Dla nas za... wesołe. Rękopis zachowujemy.

Panom P. Eł. w Moskwie i J. Ku. w Cambridge. Redakcya „Słownika polskiego" wydała dopiero arkusz *próbny* dla wywołania uwag. Warunki nabywania tego dzieła ogłoszone będą, gdy ono zacznie wychodzić.

Studentowi Z. w R. Prosimy przeczytać odpowiedź poprzednią. Najlepszy przekład M. Aureliusza znajdzie Pan w „Classiker-Bibliotek" (Stuttgart u Hoffmanna). Co do nowego zbiorowego wydania naszych klasyków — nie słyszeliśmy. Ostatnie, ale niezupełne, Altenberga we Lwowie. Częściowo ukazują się one w rozmaitych „Biblioteczkach."

— Siew nowy już od lat pięćdziesięciu powszechnie przyjęty jest w całej Anglii. W Szwecyi, Norwegii, Danii, Holandyi, Belgii również powszechnie już jest przyjęty przez wszystkie gospodarstwa. W Niemczech już 40,000 (czterdzieści tysięcy) gospodarstw przyjęło siew nowy. W powiatach inowrocławskim i strzelińskim (w Poznańskiem) nietylko więksi właściciele, ale i włościanie powszechnie przyjęli siew nowy. **Siew ten bowiem jest koroną racyonalnego rolnictwa.** Pośród mnóstwa niby to nowych narzędzi rolniczych, tylko jeden siewnik rzędowy jest rzeczywiście nową i wielką zdobyczą rolnika. Teoretycznie uzasadnia to i praktycznie objaśnia książka Adama Szymańskiego: **„Jak siać,"** zawierająca **ważne wiadomości o siewie nowym.** Str. 64 dużej ósemki, na dobrym papierze, z 10 miedziorytami. Cena 20 kop. Skład główny u Gebethnera i Wolffa, Krakowskie Przedmieście, nr. 15.

— Mężczyzna 30-to-letni kaleka bez prawej ręki i lewej nogi, bardzo biedny, nie mający najmniejszych środków utrzymania, prosi o łaskawe wsparcie pieniężne na sprawienie sztucznej nogi. Umiejąc zaś dobrze pisać lewą ręką i czując się dosyć silnym do pracy, pragnie znaleźć stosowne zajęcie i prosi również szlachetnych pp. filantropów o wyszukanie mu jakiego zatrudnienia.

Łaskawo ofiary prosi składać w kantorze niniejszego pisma.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 25 Августа 1895 г.

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, ul. Mazowiecka, Nr. 8.